
S T A R K R E T™

SEZON 1, EPIZOD 2
(SŁOWNIE: **DRUGI!**¹)

„BRUDNE SPRAWY”

*o planach, zbieżnościach, zagadkach i wymaganiach, ale też i o tym,
jak wyczerpane pokłady ludzkiej cierpliwości mogą się
zregenerować przez prosty kontakt z naturą*

<http://star-kret.prv.pl/>

¹ Tak tylko, dla podkreślenia doniosłości wydarzenia, jak i objętości materiału...

Dziennik kapitański, data gwiezdna: zmienna.

Trzy dni temu największy w dziejach statek floty Z.L.U.P. otrzymał oficjalne imię, a brzmi ono „Największa Chwała”. Nie potrafię wymyślić nazwy, która lepiej oddawałaby potęgę i techniczną wspaniałość tego krążownika. Sprawdził się już wraz z załogą w pierwszej oficjalnej misji, a dzisiaj ma odbyć swój pierwszy lot poza Układ Słoneczny. Obecna misja nie należy do najtrudniejszych, mamy bowiem eskortować parę ambasadorów planety Pling, która jako jedna z pierwszych w historii dołączyła do Unii. Pling i Ziemia pozostają w najlepszych stosunkach dyplomatycznych, nie istnieje zatem lepszy sposób na uhonorowanie wieloletniej współpracy, niż przeznaczenie do transportu i opieki nad ambasadorami najwspanialszego statku i najlepszej załogi we flocie. Z niekłamaną radością oczekuję wejścia na nasz pokład tak znamienitych gości.

Dziennik osobisty (nie tykać!), data gwiezdna: nieco późniejsza.

Przyznać muszę, że moje nadzieje co do tej jednostki jedna po drugiej rozwiewają się jak dym... Najpierw okazuje się, że przy konstrukcji statku popełniono błąd i bardzo wielu ludzi (mnie oczywiście nie wyłączając) o mały włos przez to nie zginęło, potem dowiedziałem się, iż rząd o wszystkim wiedział i postanowił nic nikomu nie mówić, a teraz każą nam się bawić w niańki dwojga starców z Pling... Osobiście liczę, że oprócz momentu powitania ich na pokładzie nie będę ich musiał ani oglądać, ani słuchać. Ludność Pling jest ogólnie sympatyczna, ale pracownicy aparatu dyplomatycznego mają trochę nierówno pod sufitem, jeśli chodzi o przepisy, protokół i tradycję... Dobrze, że ta misja potrwa tylko dwa dni. Może potem dostaniemy jakieś normalne zadanie... Na przykład małe manewry wojskowe z użyciem promienników...

* * *

Kapitan Janusz Łukasz Pika wszedł do salki konferencyjnej. Paradoksalnie, jego pokój odpraw, który wygodnie mieścił się tuż obok mostka, mógł pomieścić raptem trzy osoby i nie nadawał się na narady z udziałem całej kadry oficerskiej.

Wspomniana kadra była już w komplecie. Na widok wchodzącego kapitana wszyscy powstali. Pika skinął im głową, żeby usiedli i sam zamierzał opaść na fotel, ale coś go powstrzymało. Ze zmarszczonym czołem policzył oczami zgromadzonych i zapytał:

– A gdzie oficer ochrony?

Komandor Krykiet pośpieszył z odpowiedzią.

– Ser! Porucznik Grnh został w ostatniej chwili zwolniony ze służby na czas odbycia rytualnego samobójstwa...

– Że co?? – Pika z wrażenia usiadł jednak. – Z czyjej autoryzacji?

– Admirala Mizerykordii, ser – odpowiedział Krykiet.

– I ja się o takich rzeczach ostatni dowiaduję? – zirytował się lekko kapitan.

– Ehm, ser, zapewniono mnie, że został pan powiadomiony – usłużnie tłumaczył Krykiet. – Transmisja przysłała jakieś dziesięć minut temu, możliwe ser, że był pan już poza swoją kajutą?...

Pika pokiwał głową. Jego pierwszy oficer szybko się uczył i trafnie odgadł, że kapitan przed odprawą pójdzie sobie na obchód statku. – Ale zaraz – przypomniał sobie Pika – mówiliście komandorze, że porucznik Grnh ma — popełnić samobójstwo?!?...

– Tak jest, ser! Ale to skomplikowana historia trochę jest – zaczął tłumaczyć Krykiet. – Widzi pan, jako jedyny przedstawiciel rasy Klynemm’Go w służbie marynarki Z.L.U.P., porucznik Grnh otrzymuje specjalne przepustki na czas, kiedy według jego religii przypadają dni świąteczne. I teraz ponoć, ponieważ porucznik, ehm... otarł się o śmierć podczas naszej... ostatniej... – Krykiet z bardzo ostrożną miną zawiesił głos, obserwując drobne zmiany w fizjonomii swojego kapitana. – Tak, gdzie to ja... – podjął, szczęśliwie unikając słowa ‘misja’, które jak mniemał, wprowadziłoby Pikę w nastrój nieco gorszy, niż ten, w którym się on obecnie znajdował. – A, właśnie. No więc porucznik Grnh, ponieważ nie zginął bohaterską śmiercią na polu bitwy, a w każdym razie nie na służbie, znaczy – Krykiet przerwał dla złapania oddechu – znaczy, nie zginął, a mógł... w sensie, liczył na to... W każdym razie teraz, zgodnie ze swymi wierzeniami, musi sobie odebrać życie – komandor jakoś doznał do końca tej nieco zagmatwanej sentencji i ponownie wziął głęboki oddech, przeczuwając, jakie będzie następne pytanie kapitana.

– No ale jak to: samobójstwo? Ja rozumiem, że religia, tolerancja i tak dalej, ale przecież żeby mu tak pozwolić się po prostu zabić?... – wyrzucił z siebie Pika.

– To nie do końca tak, ser – zareagował natychmiast przygotowany wcześniej Krykiet. – Pewne rytuały w wierze klynemm’gońskiej, włącznie z tym samobójczym, od jakiegoś czasu przestały być traktowane tak do końca poważnie, głównie z uwagi na drastycznie kurczącą się populację mężczyzn – na jednym tchu wyklarował pierwszy oficer, a po trzecim głębokim wdechu kontynuował: – No i teraz, zamiast faktycznie się zabić, porucznik Grnh weźmie udział w takiej, jak gdyby, nno, inscenizacji. Będzie udawał, że rozcina sobie wnętrzności pazurem (to taki ichni miecz, w kształcie bardzo nieregularnej piły), i chociaż nie odniesie żadnych obrażeń, to jednak zamieszczone na pazurze wzmacniacze bólu...

– Dość! – Pika w obronnym geście uniósł rękę. – Nie chcę wiedzieć! Czy mam w takim razie rozumieć, że odzyskam swojego oficera ochrony zaraz po powrocie z bieżącej misji?

– Dokładnie tak, ser! – zapewnił kapitana Krykiet, który zdążył znów nabrać zapas powietrza. Ot tak, na wszelki wypadek.

– W porządku. Przejdźmy zatem do właściwej odprawy. Wiecie już, moi państwo, że mamy na karku małżeństwo ambasadorów z Pling. Mamy udać się na Ziemię, zabrać ich stamtąd, po czym bezpiecznie odwieźć na ich macierzystą planetę, nie przekraczając 15 hopów na godzinę. To tak dla bezpieczeństwa, w Sztapie się chyba boją, że moglibyśmy wybuchnąć od nadmiaru prędkości – z kwaśną miną perorował Pika. – Poruczniku, rozumiem, że te nieszczęsne bezpieczniki już nie będą nam sprawiać problemów? – kapitan zwrócił się do LaKuźni.

– Osobiście dopilnowałem, aby wszystkie korki wymieniono na właściwe. Także te zapasowe. I jeszcze zamówiłem kilkaset górką, tak na wszelki wypadek. Wszystkie testy wypadły pomyślnie, daję osobistą gwarancję, że przelot odbędzie się bez problemów – nieco zarozumiale, ale z dużą dozą pewności siebie oznajmił główny mechanik. Po czym przypomniał sobie o czymś i dorzucił na koniec: – Ser.

Pika przyjął to stwierdzenie skinieniem głowy, starając się zbytnio nie gapić na ogromne, miskowate implanty uszne LaKuźni. Będzie się musiał przyzwyczaić... – Świetnie. Doradco, co może nam pani powiedzieć o naszych przyszłych gościach?

Sparta, tak znienacka zagadnięta, potrzebowała chwili na zebranie myśli. – Erm, tak, ambasadorowie – odchrząknęła dla zyskania na czasie, szybko się odnalazła i wyrecytowała jak z książki: – Ambasador Kilemol wraz z małżonką Kilminau. Od ponad sześćdziesięciu lat pełnią służbę dyplomatyczną na Ziemi. Dzięki nim Pling do dzisiaj utrzymuje prawie pełną

autonomię, wynegocjowali w czasie swej służby ponad sto dwadzieścia najróżniejszych paktów i traktatów. A, i wypowiedzieli jedną wojnę, ale rasa Urbin, z którą mieli zamiar walczyć mieszkańcy Pling, uległa zagładzie wskutek nieoczekiwanej przemiany własnej gwiazdy w nową. – Sparta zamknęła w tym momencie oczy i jechała dalej z pamięci, bez choćby zająknięcia. – Uznawani za jednych z najskuteczniejszych negocjatorów w Galaktyce. Mają bardzo liczne potomstwo, którego dokładna liczba nie jest znana; szacuje się, iż posiadają od sześciuset do ośmiuset pięćdziesięciu synów, około czterysta córek i mniej więcej pięćdziesiąt sztuk potomstwa o płci jeszcze nie ustalonej. Preferencje godowe tej pary to: unoszący się na wodzie pałac o przynajmniej stu dziesięciu komnatach, na ścianach draperie z żywej przędzy z trzeciego księżycza Pling, nastrojowa muzyka z gatunku hip-stop-drop-umtalala; wystrój pierwszej sypialni...

– W porządku, myślę, że nie musimy się zagłębiać w aż takie detale – przerwał Sparcie Pika, który przez chwilę popadł w rodzaj transu od tego słowotoku. – Mnie chodziło tylko o to, jakiego zachowania możemy się po nich spodziewać, jakie będą mieli potrzeby i zachcianki... No, jak dużym będą ciężarem i w ogóle.

– Ach tak – zrozumiała Sparta. – Obawiam się, że przy swojej długoletniej karierze ich przywiązanie do tradycji sięga zenitu. Zresztą, podstawowym powodem, dla którego wracają na swoją rodzinną planetę jest fakt, iż przechodzą na emeryturę. W historii Pling zdarzyło się to może pięć razy, a to znaczy, że mało kto w galaktyce widział większych, niż ta para, ortodoksów i tradycjonalistów. Będą zwracać szczególną uwagę na czystość, na odpowiednie zakwaterowanie, punktualność, dobór menu, słowem – nie będzie łatwo ich usatysfakcjonować.

– Tego się obawiałem – zafrasował się Pika. – No cóż, doradco, wygląda na to, że jest pani najlepiej wykwalifikowaną osobą do opieki nad ambasadorami...

Sparta lekko tylko uniosła lewą brew. „Się wie”, wyrażała cała jej postawa.

– ... jednak o ile mnie pamięć nie myli, w zeszłym tygodniu prosiłem panią o raport dotyczący morale załogi – dokończył Pika, z przyjemnością obserwując, jak Sparta zaczyna wyraźnie flaczeć. – Czy raport już gotowy?

– Ser – próbowała jeszcze zawalczyć Sparta. – W obecnej sytuacji chyba najlepszym rozwiązaniem byłoby, gdybym raport dokończyła po misji, a na jej czas zajęła się...

– Poradźmy sobie, doradco – uciął dyskusję kapitan. – Im wcześniej ukończy pani obecne swoje zadanie, tym szybciej będzie pani wolna, aby zajmować się innymi obowiązkami. Odlatujemy za pół godziny, do tego czasu proszę wszystkich o zajęcie swoich stanowisk. To wszystko, odmaszerować.

Sparta, dusząc w sobie sporą dawkę agresji, wstała pierwsza. Przed wyjściem jednak rzuciła szybkie, znaczące spojrzenie Krykietowi, co nie umknęło uwadze Piki.

– Panie pierwszy, proszę zostać jeszcze przez chwilę – rzucił kapitan, a Krykiet, z ostrożną (jak zwykle w takich przypadkach) miną powoli zasiadł z powrotem za stół.

Pika odczekał, aż w małej sali zostaną tylko we dwóch.

– Rozumiem, że ma pan już zamiennika na zastępstwo porucznika Grnh? – spytał lekkim tonem.

– Och – rozluźnił się Krykiet, gdy okazało się, że nie będą poruszane żadne trudne kwestie. – Oczywiście, ser. Porucznik – tu komandor rzucił szybko okiem na swój podręczny pulpit – Jadwiga Atena. Akta ma pierwsza klasa. Opanowanych szesnaście sztuk walki: wręcz, z bronią białą i z promiennikiem, do tego pięć lat dowodzenia oddziałem komandosów, świetne wyczucie taktyki... stwierdziłem, że może się nada. O ile pan ją zaakceptuje, ser – poddańczo dodał na koniec Krykiet.

– Zaufam panu w tym względzie – odparł Pika. – A co z moją prośbą o jeszcze jednego pilota?

– Znalazł się taki, ponoć całkiem niezły. I tak, jak pan sobie życzył, w stopniu podporucznika, ser.

– Acha. Dobra robota, panie pierwszy – pochwalił Krykieta kapitan, ale tylko po to, żeby zaraz przyprzeć go do muru. – A co wy tam knujecie z tą Spartą?

Komandor przełknął ślinę. Spojrzał pokornie na Pike. Nie sądził, że kapitan się połapie, ale z drugiej strony ta głupia kwoka Sparta powinna wiedzieć, gdzie się nie patrzeć podczas odpraw. – Ser, doradca Sparta dała mi do zrozumienia, że jeżeli zapewnię jej służbę na mostku, gdzie, jak twierdzi, jest jej miejsce, to będę mógł liczyć na jej umiejętności telepatyczne.

Pika podumał nad tym chwilę. W sumie Krykieta rozumiał, pierwszy oficer powinien wiedzieć najwięcej i najszybciej o tym, co się dzieje na statku. Czytanie w myślach innych ludzi z pewnością by mu w tym pomogło. Jednak z powodu tej samej telepatii kapitan nie chciał mieć Sparty koło siebie.

– Panie pierwszy, żebyśmy się dobrze rozumieli: za żadne skarby nie wpuszczę tej kobiety na mostek. Rozumiem korzyści, jakie mogą płynąć z posiadania telepaty na pokładzie, ale zamierzam korzystać z jej umiejętności sporadycznie, w ogóle nie ma mowy o stałej wachcie na mostku. Za bardzo szanuję swoją prywatność. Do tego – ciągnął Pika – nie bardzo lubię oficerów, którzy zamiast, jak każdy we flocie, wносить swoje skargi na przełożonych normalną drogą, próbują użyć wpływów politycznych swoich krewnych. Tak więc ambasadorowie, ich potrzeby, komfort i kaprysy spadają na pana barki. Przykro mi, ale w tej chwili to jedyne wyjście, jakie mogę zaakceptować.

– Rozumiem, ser – odpowiedział Krykieta, lekko zawstydzony. Bo i faktycznie, rozumiał kapitana. Sam pewnie zareagowałby podobnie, gdyby któryś z jego podwładnych spróbował wywierać na niego naciski od strony rządu. – Ambasadorami proszę się nie przejmować, zajmę się nimi. A jeśli chodzi o Spartę... ser, ona może być naprawdę przydatna na mostku. Nie, nie próbuję pana przekonywać – zastrzegł się pospiesznie komandor, żeby nie dać Pice dojść do słowa – sam nie do końca lubię, jak mi ktoś bez pytania zagląda do głowy. Ale mam pewien plan...

* * *

– Dziennik szkoleniowy, wpis trzydziesty siódmy. Kadet Fąfara odbywać dziś będzie lot ćwiczebny połączony z eskortą jednostki klasy „NoChybaSeKpisz”. Koniec wpisu.

– No ja nie mogę, znowu eskorta? Nie istnieje chyba nic nudniejszego – zamarudził kadet swemu instruktorowi. Znajdowali się w małej, dwuosobowej kanonierce i lada chwila mieli opuścić bazę marsjańską.

– Fąfara, wy lepiej cicho siedźcie i się przyzwyczajajcie, bo patrząc po waszych wynikach z ostatniego tygodnia, to jeszcze długo będziecie na eskorcie latać – odpowiedział z dużą dozą złośliwości instruktor Maczetka. – Gotów do odpalania?

– Gotów, gotów... – burczał Fąfara, klikając od niechcenia startery poszczególnych systemów statku. – Wszystko sprawne, jak zawsze... Żeby tak chociaż raz jakaś mała awaria...

– Nie krakać mi tu! – zdenerwował się instruktor. – Jak coś się stanie, to za głupie gadanie obarczę was odpowiedzialnością! Napęd, ale to już!

Obsztorcowany kadet tym razem postanowił już nic nie mówić i posłusznie włączył silniki. – Jest napęd – zameldował.

– Ćwiczebny F-210 do kontroli lotów – instruktor połączył się z bazą przez radio. – Gotowi do opuszczenia bazy.

– Przyjąłem, 210 – nadeszła odpowiedź. – korytarz cztery. Szerokiej przestrzeni. Bez odbioru.

Wrota lądowiska przed nimi zaczęły się uchylać. Fąfara ochoczo złapał za stery, ale osadził go w miejscu Maczetka:

– No i gdzie się śpieszysz?? Czekaj, aż się otworzą, wariacie!

Kadet westchnął rozdzierająco, aby wyraźnie pokazać, jak bardzo cierpi, i posłusznie poczekał, aż wrota otworzą się do końca.

– Możesz lecieć – łaskawie zezwolił instruktor, ale dopiero po odczekaniu złośliwych dwudziestu sekund.

Fąfara podniósł kanonierkę z płyty lądowiska i skierował ku czarnemu prostokątowi przestrzeni za wrotami.

– Ale powoli, powoli! – zrzędził Maczetka. – Rozwalisz statek, to się do końca życia nie wypłacisz... W środek celuj! Gdzie mi tu bokiem jedziesz!...

Opuszczenie stacji, okrążenie Marsa i znalezienie doku upłynęło w podobnie sympatycznej atmosferze. Fąfara, ostentacyjnie ziewając, powolutku i precyzyjnie ustawił kanonierkę na pozycji eskortowej, nieopodał wylotu doku.

– I tak mi trzymaj, ma być wzorowo... Wiesz, kto leci tym statkiem? Janusz Łukasz Pika, pilocie ty niewydarzony – instruktor wyraźnie był pod wrażeniem znamienitego nazwiska. – Pracuj i trenuj, a może go kiedyś zobaczysz z bliska... – Maczetka rozmarzył się, a Fąfara, z nudów rozglądający się dookoła, coś wypatrzył.

– O, jest Safandula – ożywił się. Pokazał palcem i rzeczywiście, po drugiej stronie doku, w takiej samej pozycji zawisła identyczna kanonierka. – Kuuurde, ten to ma dobrze, przynajmniej raz na tydzień lata na Wenus albo do Pasa... Farciarz, przynajmniej jemu się jakiś sensowny instruktor trafił...

Maczetka popatrzył na kadeta z politowaniem. – Żaden tam farciarz, po prostu latać umie, to mu się na więcej pozwala.

– Bo ja to niby nie umiem? W każdej symulacji mam przynajmniej tak dobre wyniki, jak on – zaperzył się Fąfara.

– W symulacji, tak! – zirytował się instruktor. – Ale Safandula, jak widzi satelitę, to przynajmniej go omija, a nie próbuje staranować!

– To była awaria steru, komisja tak uznała!! – bronił się kadet.

– Pewnie, że awaria! Żeś tak szarpał, że się w końcu urwał!!...

Obaj załoganci kanonierki przez jakiś czas wymieniali poglądy dotyczące technik pilotażu. Przerwali dopiero na widok migających świateł przy wylocie doku.

– Cicho! Wylatują!! – Maczetka pośpiesznie sięgnął do radia.

* * *

– ...i jest to dla nas prawdziwy zaszczyt, móc eskortować tak wspaniałą jednostkę i załogę, która w zasadzie już teraz jest żywą legendą, inspirującą...

– Tak, świetnie, dziękuję instruktorze, od razu czujemy się bezpieczniej z waszą eskortą, punkt skoku standardowy, ruszamy natychmiast, „Największa Chwała” bez odbioru! – niemalże wykrzyczał Pika, byle tylko przerwać przemówienie instruktora Maczetki. Jak on nie znosił lizusów! – Panie pierwszy, lećmy stąd, zanim mu przyjdzie do głowy zarecytować coś patriotycznego...

– Tak jest, ser! Ster, połowa naprzód! Kurs trzy-trzy-dwa! Wykonać! – wyszczał komendy Krykiet. Nowy załogant, podporucznik, który siedział za konsolą pierwszego pilota, szybko i sprawnie spełnił polecenia. Pika uznał, że póki co pilot radzi sobie dobrze, po czym

postukał w klawiaturkę swego fotelowego komputerka, żeby sprawdzić, jak się chłopak właściwie nazywa. Znalazł, przeczytał i pomyślał, że chyba ktoś sobie żarty z niego stroi.

– Panie pierwszy – Pika nachylił się do Krykieta, szepcząc – czy ja dobrze widzę, że nasz nowy pilot ma na nazwisko Niedolega?...

– Ehm... owszem, ser – odszepnął komandor. – Sam się zastanawiałem, czy to nie kawał jakiś, ale sprawdziłem i on naprawdę się tak nazywa...

– No ale co oni, pogłupieli? Niedolega, Łamaga, Niewypał? Żeby dzieci słać do szkoły z takimi nazwiskami, przecież to okrutne! – nie mógł zrozumieć Pika. – W podstawówce przerabane na całej linii...

– Zgadza się, ser. Mam takie podejrzenie, że to może klan jakiś jest...

* * *

– Z kartki pan to czytał? No nie mogę, fanatyzm jakiś – mścił się na instruktora rozbawiony Fąfara. – Ma pan tego więcej?

– Skup się lepiej na sterze – burknął Maczetka, wciąż zmieszany faktem, że kapitan Pika nie pozwolił mu dokończyć przemowy. Za oknem wielki lśniący kadłub zaczął przyspieszać. Fąfara pospiesznie obrócił kanonierkę i wyrównał szybkość.

Przez chwilę lecieli w ciszy. Jednak taki stan był dla kadeta na tyle niezwykły, że postanowił wrócić do korzeni dyskusji.

– O, a może im by się coś zepsuło? Moglibyśmy na przykład uczestniczyć w misji ratunkowej... Ostatnio coś im się w Pasie popsło i...

– Tobie się zaraz humor zepsuje, jak zobaczysz moją notę za dzisiejsze zachowanie! – Maczetka bez skrupułów zniszczył kolorowe marzenia kadeta. – Dolatujemy do punktu skoku, pozycja pozełnalna, ale to już!

– No bo tu jest zawsze tak piekielnie nudno... – cicho mruknął Fąfara, przyspieszając statek.

Obie kanonierki wyprzedziły wielki krążownik i zatrzymały się przodem do niego, po obu stronach punktu skoku.

Potężny kadłub zbliżył się, a następnie przy oślepiającym błysku, który zawsze towarzyszy uwolnieniu pełnej mocy napędu NSP, znikł.

Kadet i instruktor przez chwilę przecierali oczy i mrugali zawzięcie, pragnąc pozbyć się z wizji wielkiej białej plamy.

– A niech mnie... To faktycznie jest potężny statek, tak dać po oczach... – mamrotał niewyraźnie Maczetka, walcząc o odzyskanie sprawności wzrokowej. Fąfara, być może z racji młodszego wieku, wcześniej przejrzał na oczy.

– Alarm!! – wydarł się nagle kadet. – Kolizyjny!!!

Z chaosu, który potem nastąpił, dało się wyróżnić trzy odrębne stadia: łupnięcie, szarpnięcie, rozbłysk i ciemność... No dobrze, umówmy się, że łupnięcie i szarpnięcie to jedno i to samo stadium, tylko podzielone na dwa etapy.

* * *

Dajana Sparta weszła do mesy. Jej nastrój nie wróżył dobrze załogantom, których miała zapisanych na najbliższe wywiady. Siadła przy pierwszym lepszym stoliku. Trzepnęła

podręcznym pulpitem o blat. Rozejrzała się po pomieszczeniu. Mała grupka techników stała w przeciwległym rogu sali, wyglądając na zdenerwowanych. I dobrze.

Sparta czuła, że zamiast zyskiwać nad sytuacją coraz więcej kontroli, właściwie ją zupełnie straciła. Wyglądało na to, że Krykiet jednak nie ma zbyt dużego wpływu na kapitana, a ten zawziął się, żeby jej do siebie nie dopuścić. Spotykała się już z różnymi reakcjami na wieść o jej umiejętnościach, ale to, co prezentował Pika, zakrawało na paranoiczny lęk. A Sparta miała Plan Do Wykonania. Najgorsze było to, że za nic w świecie nie mogła sobie przypomnieć, na czym ten Plan polegał, wiedziała tylko, że jest bardzo Ważny, a jego pierwszym etapem jest dostanie się na stałą wachtę na mostku. Cała ta sytuacja była mocno frustrująca, szczególnie, że jako wyszkolona mentalnie telepatka praktycznie nigdy nie miała problemów z pamięcią.

Sparta miała ogromną ochotę coś zepsuć, rozwalić, spaprać komuś dzień. Jej wzrok ponownie zatrzymał się na grupie oczekujących na wywiad techników. Cóż, jak się nie ma, co się lubi...

– Maliniak! – krzyknęła w stronę oczekujących załogantów. Jeden z nich, słysząc swoje nazwisko, trwożliwie wysunął się przed szereg. Obejrzał się jeszcze na kolegów i z nietęgą miną podszedł do stolika Sparty.

– Młodszy technik transferowy NSP Maliniak melduje się posłusznie, doradco – zasalutował. Sparta nie potrzebowała widzieć jego kolan, żeby wiedzieć, iż trzęsą się one nieco. Przyoblekła na twarz swój najbardziej promienny (i najbardziej obłudny) uśmiech.

– Siadajcie, techniku – rzuciła do chłopaka wesoło, wskazując krzesło. Młodziak z wahaniem usiadł, niepewny, czego oczekiwać.

– O, widzę, że jesteście trochę spięci – Sparta kontynuowała przedstawienie. – Naprawdę nie ma się czego obawiać. Kapitan po prostu chce wiedzieć, w jakiej kondycji psychicznej i emocjonalnej jest jego załoga, szczególnie po ostatnich przejściach w Pasie Asteroidów... Tak więc zadam wam kilka pytań, a wy na spokojnie zastanówcie się nad każdą odpowiedzią. W porządku?

– Eee... takjest, doradco – wykrztusił technik, który wcale nie czuł się w porządku.

– No, zrelaksujcie się trochę, Maliniak – rzuciła Sparta beztrąsko – takie raporty to zwykle tylko formalność. Obawiać się ich powinni tylko ci, którzy mają coś na sumieniu, albo, powiedzmy, mają jakieś problemy z psychiką. Wyobrażacie sobie? Psychiczenie chorzy ludzie służący we flocie? Kto by pomyślał, hehe – plotąc słodko jak dobra ciocia, Sparta jednocześnie sondowała umysł biednego chłopaka. I już po chwili miała punkt zaczepienia.

– No dobrze, zadaję pierwsze pytanie: kto jest dla was wzorem w życiu? – strzeliła w końcu telepatka, i gdy technik już otwierał usta do odpowiedzi, dodała: – Kapitan Pika to nie jest dobra odpowiedź, uprzedzam... On raczej nie lubi, jak się mu załoga podlizuje...

Chłopak zamknął buzię, podumał i wykrztusił: – Moja mama...

– Świetnie! Widzicie, nie poszło tak źle – zakpiła Sparta. – Kochacie matkę, Maliniak?

– O... oczywiście...

– Jesteście do niej przywiązani?

– Nno, chyba tak... – na czoło technika wystąpiły kropelki potu. Nie miał pojęcia, gdzie ten wywiad zmierza, ale czuł, że nie jest to miłe, spokojne miejsce.

– Rozumiem... – Sparta udała, że się przez chwilę zastanawia. A po odliczonym w pamięci czasie zapytała: – Powiedzcie, Maliniak, wiecie, co to takiego 'kompleks Edypa'?

Chłopak patrzył na nią przerażony. – Chyba nie...

– To rozsiądźcie się wygodnie, bo czeka nas dłuższa pogadanka – z tymi słowy Sparta zaplotła palce, aż chrupnęło i zaczęła mówić. Mówiła i mówiła, a z oczu źle jej patrzyło...

* * *

– Orbita Ziemi osiągnięta, ser! – zameldował pierwszy pilot.
– Doskonale, panie... ehem, Niedolega – przyjął do wiadomości Pika. – Czy transport orbitalny już czeka?

– Właśnie do nas leci, ser – dobiegł kapitana damski głos.

Pika przez chwilę kontemplował brzmienie tego głosu, próbując skojarzyć go z jakąś twarzą. Nie szło mu za dobrze, mimo, iż głos ten był dość charakterystyczny. Brzmiał bardzo miło, jedwabiście wręcz, ale miało się wrażenie, że gdzieś na granicy percepcji czai się w nim coś niebывale groźnego. Jakby głąskało się słodkiego, puszystego króliczka i przeczuwało, że zwierzączek za chwilę rzuci się z kłami do gardła.

Pika odwrócił się do tyłu, w stronę konsoli taktycznej. Tam, gdzie zwykle tkwiła rosla postać Grnh z jego budzącą niemiłe skojarzenia fizjonomią, widniało teraz prześliczne, delikatne zjawisko.

– Porucznik... Atena, zgadza się? – zapytał Pika, który, jak każdy normalny facet na jego miejscu, znalazł się pod wpływem mieszanki feromonów i hormonów. – Miło mi panią gościć na mostku – powiedział z odrobiną nieśmiałości, obciągając marynarę galowego munduru.

– To zaszczyt tu być, ser – bez większego przekonania odparła piękna Atena.

Pice coś w tym momencie przyszło do głowy. – Wybaczcie, poruczniku, że zadam dość osobiste pytanie, ale czy nie jesteście przypadkiem spokrewnieni z pokładowym doradcą?...

– W żadnym wypadku, ser – kategorycznie oświadczyła Atena. Groźna składowa w jej jedwabistym głosie nieco przybrała na mocy. – To po prostu przypadkowa zbieżność.

– Ach, rozumiem – Pika uznał temat za zamknięty. – Proszę dać znać, kiedy transport z ambasadorami nas wywoła.

– Właśnie dzwonią, ser – usłyszał kapitan i czym prędzej odwrócił się do głównego ekranu. – Wizja – zażyczył sobie.

Przednia ściana mostka, która dotychczas pokazywała fragment tarczy Ziemi, błysnęła i wypełniła się męską twarzą.

– Witam, kapitan Lanca z tej strony, z pokładu „Pioniera Przestrzeni” – powiedziała twarz.

Pika poczuł się odrobinę nieswojo, ponieważ miał wrażenie, że kapitan Lanca stara się ukryć rozbawienie.

– Witamy z pokładu „Największej Chwały” – odpowiedział mu Pika i stwierdził, że wesołość Lancy wzrosła jeszcze, gdy wypowiedział nazwę statku. Pika zmrużył podejrzliwie oczy, gdyż przyczynę rozbawienia drugiego kapitana zgadywał w ich poprzedniej, omal nie zakończonej katastrofą, misji. – Czy ambasadorowie są już gotowi? – zapytał sucho. Strasznie nie lubił, jak się z niego ludzie śmiali.

– Jak najbardziej. Czekamy na sygnał od was – odparł Lanca, nadal wyraźnie ubawiony w duchu.

– Świetnie. Zaraz uruchamiamy teleprzesył – chciał zakończyć niezbyt miłą dla niego rozmowę Pika, ale Lanca szybko rzucił:

– Ambasadorowie wyraźnie zażyczyli sobie dostać się na pokład... „Największej Chwały”... w tradycyjny sposób.

„Co on się tak czepia nazwy?”, nie mógł zrozumieć Pika. A na głos powiedział:

– Doskonale. Zatem zadokujcie do służby numer sześć. Pika bez odbioru.

– Powodzenia życzę, miło było spotkać... „Największą”... – tu kapitan Lanca zacisnął powieki i wykonał szybki ruch. Obraz mostka drugiej jednostki znikł, a na ekranie ponownie pojawiła się Ziemia.

Pika oburzony spojrzał na Krykieta. – Pod sam koniec to on już się chyba normalnie śmiał?? – zapytał cicho.

– O tak, ser, ledwo zdążył zerwać połączenie – potwierdził pierwszy oficer.

– Bezczelność! Myśmy tam o włos nie zginęli, a ten sobie śmichy-chichy robi – zbulwersował się Pika, wstając z fotela. – Czas na nas, trzeba przywitać gości. Poruczniku, mostek jest pani – rzucił do pięknej Ateny, wahając się na ułamek sekundy, gdyż nie do końca lubił zostawiać kobietom dowództwo nad statkiem. Jednak feromony szybko załatwiły sprawę i Pika już stał w windzie. Krykiet niezwłocznie do niego dołączył.

– Pokład piętnasty – rzucił kapitan do komputera windy. Drzwi zamknęły się, ruszyli.

Pika nie wytrzymał długo. – No nie mogę, co za gbur! To raczej my powinniśmy się z niego śmiać, ma statek z taką nazwą, ale napędu NSP nie posiada, wielki mi „Pionier Przestrzeni”, pasa Kuipera¹ nigdy nie widział na oczy...

– Racja, ser... hehe... – zaśmiał się ostrożnie Krykiet, nie wiedząc jeszcze, na jakim etapie zrzucania z serca ciężarów jest kapitan i czy już wolno wprowadzać elementy humorystyczne.

– „Pionier”, też coś... może „Przodownik” od razu? – kontynuował Pika, ale już jakby odrobinę weselej. Czy też, należałoby napisać: mniej ponuro.

– Haha, to dobre było, ser – Krykiet delikatnie zwiększył głośność hahania, dodając: – Takie magnetofony kiedyś były, ‘Pionier’... jeszcze przed erą kolonizacji...

– Hyhy... magnetofony, mówicie... – kapitan zaczął się rozluźniać. – Znaczy, co? „Przeżytek Przestrzeni”?

– Myhyhy, „Przeżytek”!... Niezłe ser, naprawdę niezłe! – kontynuował terapię komandor. – O, i taki fundusz powierniczy był, też ‘Pionier’, hyhy...

– Dobra, dość już, to nieładnie się tak wyśmiewać z kogoś – zreflektował się Pika. Po czym dodał z lekkim uśmieszkiem: – Nawet z „Przodownika Funduszu”, hyhyhy...

Krykiet już wiedział, że burza minęła, przynajmniej na czas najbliższy. Przez chwilę w windzie panowała cisza.

– Ta Atena... – zaczął Pika z innej beczki – Ma coś takiego dziwnego w głosie, nie sądzi pan, panie pierwszy? Bo że jest ładna, to bez dwóch zdań...

– Naprawdę? – komandor poczuł leciutkie ukłucie szpileczką zazdrości i trochę się tego przestraszył.

– No pewnie – Pika spojrzał na Krykieta z niedowierzaniem. – Gdzie pan ma oczy?

– Jakoś nie zauważyłem, ser – próbował wybrnąć pierwszy oficer, zaniepokojony kierunkiem, w jakim zdążała dyskusja.

Na całe szczęście dla Krykieta w tym momencie otworzyły się drzwi windy.

– O, jesteśmy na miejscu! – wykazał się komandor spostrzegawczością. Wszystko, byleby już nie wracać do poprzedniego tematu.

– Tak, widzę... – rzekł Pika, spoglądając przeciągle na swojego podwładnego.

– Ser! – dobiegło ich z głębi korytarza. – Już są w służbie, ser! Szybko!

Pika zapomniał o całym świecie i pobiegł w stronę służy, z nieodłącznym Krykietem u boku.

Tam czekał na nich strażnik, który przed chwilą ich ponaglił. I w samą porę: czerwone światło na włączniku służy zmieniło właśnie kolor na zielony. Stuknął automatyczny zamek, syknęło powietrze, wyrównując ciśnienie i właz stanął otworem. Przez ten właz ktoś wyskoczył.

¹ Pas (pierścień) Kuipera - zbiór drobnych ciał niebieskich krążących poza orbitą Neptuna w odległości od około 30 do 50 AU (jednostek astronomicznych) od Słońca. Proszę nie pytać, ile to jest hopów świetlnych.

Był to niewysoki mężczyzna w średnim wieku. Ubrany był w falistą szatę, której bogactwo zdobień i skomplikowanie wzorów sprawiało, że wyglądał jak chodzący kalejdoskop. Mężczyzna rozejrzał się szybko na obie strony i scenicznym szeptem zarządził:
– Strażnicy precz! Wy dwaj, trzy kroki w tył! Głowy pochylić! Szybko, zaraz tu będą!!

– Ehm – Pika poczuł, że podważa się jego autorytet – ale kim pan właściwie jest?

– Lokajem!! Nie ma czasu, zabierzcie stąd strażników, cofnijcie się pod ścianę!!

Drzwi służby za jego plecami na powrót się zamknęły, wróciło też czerwone światło.

– Ale co to w ogóle znaczy?! Tak się składa, że jestem tutaj kapitanem i chciałbym się dowiedzieć, kim pan jest i jak się nazywa! – uniósł się dumą Pika.

– Lokajem jestem!! Lokaje nie mają imion!! Czy teraz możecie się wreszcie odsunąć i odesłać tą eskortę?? Oni tu zaraz wpadną i będzie katastrofa!!! – panikował pstrokaty człowiek, i coś w jego postawie sprawiło, że Pika postanowił się tymczasowo zastosować.

Skinął głową Krykietowi. Ten tylko na to czekał. – Jazda stąd! – szczerknął do strażników, i ci posłusznie oddalili się biegiem. Kapitan i pierwszy oficer wycofali się pod ścianę, pochylili głowy i czekali.

Błysnęła zielona lampa, stuknął zamek, syknęło powietrze, właz się otworzył.

Pika szybko zrozumiał, dlaczego musieli się cofnąć. Ze służby wyskoczył cały orszak pstrokato odzianych lokajów. Ustawili się w dwóch szeregach po obu stronach włazu. Powyjmowali z fałdów swych szat jakieś niewielkie przedmioty i zaczęli nimi potrząsać w różnych sekwencjach.

Rozległ się dźwięk dzwonek. Z początku delikatny, łagodny, ale tylko po to, żeby zaraz wzmóc się i runąć lawiną kakofonicznych dźwięków. Pika pomyślał, mrugając, że prócz oczopląsu osiągnie za moment również stan kociokwiku.

Całe szczęście ceremonia nie trwała zbyt długo. Kapitanowi zaczynało się już kręcić w głowie od licznych i intensywnych bodźców, gdy nagle wszystko ucichło. Lokaje stanęły w bezruchu, zgięły w ukłonie.

Z włazu wynurzyła się jakaś noga. Za nią druga. Potem trzecia i czwarta. Pika czekał, czy może nie pojawi się ich więcej, ale to było wszystko. Dwie pary nóg, okrytych szatami jeszcze bardziej przegiętymi pod kątem zdobnictwa i kolorystyki, zatrzymały się przed włazem do służby.

Pika czekał.

Nic się nie działo.

Pika uznał zatem, że ambasadorzy czekają na jakieś powitanie. Podniósł głowę...

...i szybko ją opuścił, gdyż uchwycił kątem oka przerażone spojrzenie jednego z lokajów.

Czekał zatem nadal.

Po około pół minucie wszyscy lokaje, jak na komendę, zaczęli szaleńczo potrząsać swoimi dzwonekami.

Na szczęście nie trwało to dłużej, niż jakieś piętnaście sekund. Pika miał spore wątpliwości, czy wytrzymałby więcej.

Jeden z lokajów huknął na całe gardło: – Jego Doskonałość Specjalny Wysłannik Dyplomatissimus, Zbawiciel Pokoju, Esteta, Miłośnik Miękkiego Wnętrza Owoców Ulun, Jedyny i Całkowicie Niepowtarzalny Kilemol!!!

Lokaje jak jeden mąż wrzasnęły: – HU-HA!!! – i machnęły dzwonekami.

– Z pradawnej i wiecznej planety Pling!!! – kontynuował pierwszy lokaj.

Dzwonki.

– O dwunastu księżycach!!!

Dzwonki...

– Niebiańska Piękność Dzierżąca Buławę, Pełniąca Zaszczytną Rolę Małżonki Jego Doskonałości, Mistrzyni Kuchennych Potyczek, Wielbicielka Powietrznego Rodeo, Doceniana i Wielce Popularna Kilminau!!!

– HU-HA!!!

DZYŃ.

– Z pradawnej i wiecznej planety Pling!! – wyglądało na to, że lokaj prowadzący miał już nieco zdarte gardło, dzięki czemu nie mógł już tak głośno krzyczeć.

DZYŃ.

– O dwunastu księżycach!...

DZYŃ – DZYŃ – DZYŃ...

Wreszcie wszystko ucichło. Pika, stojący cały czas z pochyloną głową, wyobraził sobie, że zgroza na twarzy Krykiet przewyższa nawet jego własną, gdyż to komandor właśnie będzie musiał opiekować się tym cyrkiem i spełniać wszelkie życzenia ambasadorów.

– Psst! – usłyszał nagle kapitan. Zaryzykował lekkie podniesienie głowy. Jeden z lokajów dawał mu mimiką znać, że już czas, aby Pika coś powiedział.

Wymieniwszy szybkie spojrzenie z Krykiem (okazało się, że miał rację co do tej zgrozy), kapitan postąpił krok naprzód i skłonił się.

– Nazywam się Janusz Łukasz Pika i jestem kapitanem tej skromnej jednostki – zabajerował. – To mój pierwszy oficer, komandor Miriam Krykiet. Będzie on odpowiedzialny za państwa komfort i dobre samopoczucie. W razie wszelkich problemów, proszę powiadamiać komandora właśnie – Pika miał nadzieję, że jak odpowiednio dużo razy powtórzy nazwisko Krykiet, państwo dyplomaci dadzą mu spokój na czas podróży. – Jest to dla nas nieklamana przyjemność i wielki zaszczyt, iż możemy gościć w naszych niegodnych progach tak znamienitych, dostojnych gości...

Trwało chwilę, zanim Pika skończył słodzić i rozplęwać się nad doniosłością chwili. Wreszcie przestał i popatrzył na delegatów, którzy cały czas stali nieporuszeni, najwyraźniej też nie zamierzali nic mówić.

Pika zmarszczył czoło. – Czcigodni państwo są na pewno znużeni podróżą na orbitę. Za pozwoleniem dostojnych gości, komandor Krykiet zaprowadzi ich do specjalnie przygotowanej kajuty, która, mamy nadzieję, spełni państwa oczekiwania. Komandorze?

Krykiet postąpił do przodu i właśnie zamierzał złożyć ukłon, ale w tym momencie jedno ze znamienitych gości (płeć Plingian jest ciężka do określenia po wyglądzie) postanowiło się odezwać.

– Czy ty słyszysz, moja droga?! – zaskrzeczało. – Oni mają dla nas tylko jedną sypialnię!!

– To obrzydliwe! Zupełny brak szacunku! Kto to słyszał, żeby małżeństwo dzieliło wspólną sypialnię!! Mężu, zrób coś!! – zapiszczało drugie z ambasadorów, będące, jak się okazało, żeńską połową pary.

– Yyym, ale to najlepsza kajuta na statku! – próbował ratować sytuację Pika. – Rezerwujemy ją specjalnie dla najznamienitszych gości, nie mamy lepszego zakwaterowania...

– Bezcelność!! – wyskrzeczwał ambasador Kilemol. – Żądam natychmiast przydzielenia nam co najmniej dwóch dodatkowych sypialni! Jedna ma być dla mnie, druga dla żony, a trzecia, jakby naszło nas... khe-khem... jakby nas naszło na wspólne słuchanie klasyki umtalala!!

– Oczywiście, jeśli państwo mają takie życzenie, przydzielimy tyle kajut, ile będzie potrzeba – Pika dałby wszystko, żeby już móc się oddalić i mieć ten koszmar za sobą. – Komandor Krykiet osobiście się tym zajmie... Komandorze!

– Tak jest, ser! Służę, dostojni goście – Krykiet widział, że jest niedobrze, więc na wszelki wypadek zgiął się kilka razy w ukłon. – Jeśli państwo pozwolą, za mną proszę, za mną...

– I te korytarze, tak zupełnie niegustowne! Widziałaś kiedyś, kochana, tyle pustych ścian? – skrzeknął jeszcze Jego Doskonałość Kilemol, ale chyba trochę mniej piskliwie, niż poprzednio. – Cóż za nieumiejętne wykorzystanie powierzchni. Idziemy!

– HU-HA!!!

DZYŃ.

I poszli. Pika z ulgi aż oparł się o ścianę. Trochę mu się teraz zrobiło żal Krykieta, że będzie się musiał męczyć z takimi malkontentami. Posłuchał jeszcze przez chwilę, jak żona Kilemola komentuje niepochwlebnie ciasnotę windy (co raczej nie dziwiło, przy tylu lokajach stłoczonych w jednej kabince) i fatalne rozplanowanie przestrzenne krążownika, po czym sam udał się do windy. Na wszelki wypadek poszedł jednak w przeciwnym kierunku korytarza. Po drodze klepnął się w emblemat Unii i rzucił:

– Pika do mostka. Odlatujemy natychmiast. Natychmiast!...

* * *

Admirał Topór borykał się z nie lada zagadką. Do tej pory nie udało się jeszcze ustalić, co było przyczyną zniszczenia jednej z kanonierek eskorty „Największej Chwały”. Topór obawiał się najgorszego, czyli sabotażu. Oczywiście zaraz okazało się, że sam krążownik jest nienaruszony i właśnie parkuje na orbicie ziemskiej w oczekiwaniu na ambasadorów. Zatem jeśli nie był to atak na „Chwałę” – to co to było?

Rzecz jasna, atak mógł być skierowany przeciwko krążownikowi i z jakichś przyczyn się nie udać. Sęk w tym, że liczne satelity na orbicie Marsa, sensory doku i samej stacji orbitalnej nic podejrzanego nie wykryły. Żadnej obcej obecności, sondy, pojazdu, żadnego chociażby obcego paproszka w przestrzeni. Co prawda w momencie skoku „Chwały” wszystkie instrumenty na chwilę oślepyły, co by nie mówić, okręt silniki ma potężne, ale nawet gdyby jakiś inny statek w tym akurat momencie skoczył w bezpośrednią odległość, to nie mógłby w ciągu tego samego rozbłysku zaatakować i od razu skoczyć z powrotem! Napędy, które pozwalały podróżować szybciej od światła, generalnie wymagały mnóstwo mocy i po jednym użyciu potrzebowały sporo czasu, aby osiągnąć ponowną gotowość. Przynajmniej te napędy, o których wiedział Topór...

Tyle dobrego, że chociaż załoganci kanonierki przeżyli. Systemy katapultujące nie zawiodły i wyrzuciły ich wraz z fotelami daleko od miejsca zagrożenia. Na razie obaj nieprzytomni, kadet i instruktor spoczywali pod dobrą opieką na oddziale orbitalnego szpitala. Admirał obiecał sobie dokładnie ich przesłuchać, jak tylko znów będą w stanie mówić.

Topór stał przy oknie swojego apartamentu w marsjańskiej bazie orbitalnej. Z tego miejsca obserwował, jak kilka załóg technicznych lata małymi holownikami i zbiera szczątki po kanonierce. Zrobi się pełną analizę, może to coś pomoże.

Topór rozkaszał się okropnie. Drżącymi dłońmi wymacał przy pasie swą maskę tlenową, przycisnął do twarzy i zaczął głęboko oddychać. Z niewiadomych przyczyn jego naturalny aparat oddechowy nie chciał wracać do normalnej pracy i maska była mu cały czas niezbędna. Ale Topór nie przejmował się, wręcz był zadowolony. Maski dawała mu jakieś takie dziwne poczucie siły i potęgi. Gdy wdychał przez nią powietrze, czuł się doskonale, a szumy i świsty, które maska z siebie wydawała, sprawiały, iż relaksował się i nabierał energii do działania.

Admirał sztachnął się jeszcze kilka razy powietrzem z maski, po czym zdecydowanym krokiem udał się do drzwi swego apartamentu. Czas przyjrzeć się temu wszystkiemu z bliska i rozwiązać zagadkę.

* * *

– Ser, błagam pana! Niech mi pan nie każe tego robić!! Ja nie rozumiem połowy z tego, co oni do mnie mówią, już nie wspominając, czego sobie życzą!!...

Pika chciał coś powiedzieć, ale wyglądało na to, że Krykiet faktycznie znalazł się na granicy wytrzymałości. Nie było na razie mowy o żadnym dialogu.

– Przez ostatnie czterdzieści minut tłumaczyłem im, dlaczego niemożliwe było, żeby ich zawieźć do domu ich własnym pałacem!! Pałacem, rozumie pan, ser!?!... Na podwieczorek zażyczyli sobie jakieś owoce, o których nigdy nie słyszałem i coś, co się nazywa... – tu Krykiet podsunął swój pulpit bliżej oczu, próbował go też lekko przekręcić w bok. – Ser!! Ja tego nawet nie umiem przeczytać!!...

Desperacja i panika komandora zaczęła powoli łamać silną wolę kapitana.

– Panie pierwszy, niech pan posłucha... – zaczął, ale Krykiet miał jeszcze inne tematy, którymi bardzo pragnął podzielić się ze swoim dowódcą.

– Dekoracje! Czteryście metrów kwadratowych!! Muzyka! Dwieście godzin nagrań, żeby mieli z czego wybierać!! Pościel im nie pasuje, dywaniki w łazienkach nie dość miękkie i niedostatecznie ozdobione! Sygnał dzwonka do drzwi nie stroi w tonacji! Obraz na ścianie kiczowaty! – komandor zdawał się być niemal na skraju szaleństwa i krzycząc, machał kapitanowi przed nosem swoim pulpitem. Pika kilka razy musiał zastosować lekki unik, aby nie dostać w twarz.

– Komandorze!

– Nie!! Nie!! Nie dam rady!! – darł się Krykiet, zapominając o protokole wojskowym, o autorytetach i łańcuchu dowodzenia. – Niech pan sam tam do nich idzie i spróbuje im dogodzić, to po prostu niemożliwe!!

– Dobrze już, dosyć... – trzeba Pice przyznać, że jak do tej pory wykazał sporo wyrozumiałości, jednak prawdopodobnie zostało mu jej niezbyt wiele.

– A wie pan, co oni sobie wymyślili na jutro?? No, wie pan?! Otóż mamy im zapewnić boisko do gry w półpstryk!!!

Krykiet najwyraźniej wykrzyczał się wreszcie do końca. Pika niepewny, czy dobrze zrozumiał, chciał się upewnić: – Że co proszę?...

Komandor przez chwilę dyszał ciężko, odpoczywając po wybuchu.

– Tak, ser. Właśnie: boisko – wysapał. – I przepraszam za moje zachowanie. To już się więcej nie powtórzy.

– Ale skąd ja mam im wziąć boisko?? – nie posiadał się ze zdumienia Pika. – Przecież już jutro wieczorem będą u siebie w domu, to na co im boisko jakieś w kosmosie, no??

– Cóż, ser, wydają się być w tej kwestii nieugięci – sapnął Krykiet. – Znaczą, bardziej nieugięci, niż w innych przypadkach, o ile to możliwe w ogóle ... W każdym razie twierdzą, że jutro jest jakaś rocznica powstania tej gry i absolutnie nie ma mowy, żeby to przełożyć.

– W porządku. Panie pierwszy, potrzebna nam pomoc – podjął decyzję Pika po chwili namysłu.

Jego pierwszy oficer, słysząc te słowa, przybrał na twarz wyraz bezbrzeżnej ulgi. – Dziękuję, ser!! Dziękuję!!

– Moment, niech mnie pan posłucha. I niechże pan wreszcie usiądzie – zirytowany kapitan wcisnął Krykietą w fotel. – Nie powiedziałem, że zwolnię pana z opieki nad dyplomatami. Po prostu będzie pan musiał zapewnić sobie pomoc doradcy Sparty.

– To Sparta ma doradcę? – zadziwił się komandor.

Pika popatrzył na niego bez słowa.

– Nie, przepraszam, zachowałem się jak kretyn – połapał się w składni Krykiet. – Proszę o wybaczenie, nie myślę teraz zbyt jasno...

– Dobrze już, niechże się pan wreszcie uspokoi – Pika pokręcił głową. – Żeby taki doświadczony oficer do reszty kontrolę stracił, no wie pan...

Krykiet stwierdził, że płoną mu uszy ze wstydu. – Ja wiem, ser – wyjąkał. – Ale proszę mi wierzyć, gdyby to pan musiał się z nimi użerać...

– Po to mam pana, żebym nie musiał – zakończył sprawę Pika. – Uda się panu nakłonić Spartę do pomocy? I z góry mówię, na mostek nie trafi. Przynajmniej dopóki nie odda mi zaległego raportu.

Komandor zastanowił się. – Ciężko będzie. Ona wie, czego chce. Jeśli ma nam pomóc, będzie chciała coś w zamian. Mogę ją namówić do tego, że w zamian za pomoc dostanie wachtę na mostku, dajmy na to, za tydzień. Ale bez tej karty przetargowej w ogóle nie mam co zaczynać z nią rozmowy.

– Hmm – mruknął niepocieszony kapitan. – Cóż, wydaje się, że nie mamy wyboru. Trudno, trzeba się będzie po prostu bliżej przyjrzeć pańskiemu planowi...

– Popieram, ser. To nie jest zły plan, tylko potrzebuje doprecyzowania i pewnie pomocy jeszcze paru osób. Sprawa jest cokolwiek niebezpieczna i sam mogę sobie nie dać rady. Ale przy pana wsparciu, ser...

– Pogadamy później. Jeszcze jedno, panie pierwszy – Pika wstał i pokazał Krykietowi drzwi swojego pokoju odpraw. – Proszę mi zorganizować system wczesnego ostrzegania, żebym w żadnym momencie nie natknął się ani na ambasadorów, ani na Spartę. Proszę to potraktować jako sprawę o najwyższym priorytecie. Rozumiemy się?

– Doskonale, ser! – Krykiet najwyraźniej zaczął dochodzić do siebie. – Nie zawiodę pana, ser!

Gdy pierwszy oficer znikł wreszcie za drzwiami, Pika ponownie opadł na swój fotel, ciężko wzdychając. Do tej pory, na dwie misje, obie okazały się ciężkim przeżyciem – a przecież obecne zadanie nie trwa nawet połowy przewidzianego czasu... Odpocząwszy chwilę od wrażeń, Pika zmobilizował siły i skierował się z powrotem na mostek.

Tam czekała na niego niespodzianka.

– Ehem! – odchrząknął głośno Pika, stojąc obok swojego fotela.

Siedząca we wzmiankowanym fotelu porucznik Atena spojrzała na kapitana i uśmiechnęła się do niego promiennie.

– O, kapitan na pokładzie! – powiedziała wesoło i wstała. – Mam nadzieję, że nie ma mi pan za złe, chciałam zobaczyć, jak to jest tak sobie tutaj posiedzieć...

Pika otworzył usta, by wygłosić szorstką reprimendę pod adresem nieobyczajnej kobiety i powiedział: – Nie, nic się nie stało – a następnie osłupiał.

Atena wionęła w jego kierunku feromonami i przemieściła się do konsoli taktycznej. Pika zasiadł w kapitańskim fotelu, który aż się lepił (w przenośni) od kobiecości pani porucznik i przez dłuższy czas nic nie robił ani nie mówił.

„Największa Chwała” mknęła dostojnie przez bezmiary kosmosu.

– O nie, moja droga – szedł w zaparte Krykiet. – To tak nie działa. Obiecałem ci mostek i słowa dotrzymam, ale jeszcze nie teraz. I musisz coś dla mnie zrobić.

Sparta, która obserwowała rozdygotanego komandora na ekranie we własnej kajucie, wysyczała głosem pełnym jadu:

– On mnie tak upokorzył przy wszystkich, a teraz mam mu niby pomagać? Zapomnij! Palcem nie kiwnę! Niech was zjedzą ci delegaci, wasz problem.

– Ty lepiej ze mną nie zadzieraj – ostrzegł Krykiet. – Nie dzisiaj. A najlepiej nigdy. Jeszcze raz ci mówię, w swoim własnym, dobrze rozumianym interesie lepiej bierz się do roboty. Oczekuję pierwszych wyników najdalej za pół godziny, bo te potwory chcą niedługo coś zjeść!

– A pocałuj mnie w **[OCENZUROWANO]**!! – nadeła się Sparta. – Nie będziemy tak rozmawiać. Mieliśmy układ. Jakoś nie widzę, żeby coś się zmieniło! Widać wcale nie masz takiego wpływu na kapitana, jakim się przechwalałeś. Ja ci teraz podam rękę, a ty nadal będziesz mi wmawiał, że cały czas nad tym pracujesz! I tyle mojej kariery!

– Kobieto!! – Krykiet zaczynał tracić panowanie – Jak mi teraz nie pomożesz, to o karierze w ogóle zapomnij! Załatwię cię na cacy! Wszyscy się dowiedzą o twojej roli w naszym bohaterskim powrocie na pokład trzy dni temu!! Przysięgam, że wypaplam staremu, dam to do gazet i do telewizji!!

Sparta gapiła się w ekran w oszołomieniu. Nie sądziła, że komandora stać na taką nieczystą zagrywkę.

Krykiet zobaczył reakcję swej rozmówczyni i wiedział już, że wygrał. Uspokoił się więc nieco i nawijał dalej.

– Więc zamiast mi się tu unosić honorem, lepiej rusz głową i zacznij grzebać w bibliotece. Sytuacja jest jasna: ja się nie nadaję do tej roboty, a ciebie stary nie znosi. Jedynym sposobem, żeby udowodnić mu, że jesteś potrzebna, jest pokazanie mu, już po fakcie, że to ty uratowałaś sytuację. Mnie się nic nie stanie, bo jako pierwszy oficer mogę ci wydawać rozkazy. Zresztą stary dał mi do dyspozycji praktycznie całą załogę, bylebym tylko utrzymywał te bestie z dala od niego. Radzę ci dobrze, bierz się do roboty, a wrócisz na mostek już od następnej misji. Masz moje słowo.

Sparta trawiła słowa Krykieta przez chwilę. Wydawało się jednak, że komandor ma rację i mimo, iż bardzo chciała się zemścić na kapitanie, to jeżeli miała zrealizować swój Plan, musiała zagrać według reguł pierwszego oficera.

– Dobra. Niech ci będzie. Ale pamiętaj, co obiecałeś. Następna misja! – ustąpiła ze złością.

– Nic się nie bój. Zrób swoje, a nagroda cię nie minie – zaironizował Krykiet i wyłączył się.

„A to szczywany lis”, z pewną dozą respektu pomyślała Sparta. „Sprytnie zrobił, że nie przyszedł pogadać osobiście, wiedział, że zdalnie nie będę mogła skutecznie go wysondować. Trudno. Do roboty. Przyjdzie czas, odegram się za wszystko”.

Sparta podumała jeszcze przez chwilę, a potem z zapałem zaczęła klikać w klawiaturę komputera.

* * *

– Raport, panie pierwszy – zakomenderował Pika, gdy znów spotkali się z Krykietem w pokoju odpraw.

– Wszystko idzie dobrze, ser – komandor był wyraźnie zmęczony, ale zadowolony. – Sparta kieruje pracą na poziomie konceptu, więc od razu wiadomo, co mamy produkować i

nie muszę już używać słowników. Nasze dwa... ehem, nasi goście nieco przycichli, gdy ich pierwsze zachcianki zostały spełnione, więc na razie mamy względny spokój. W tej chwili zaprząłem do roboty koło pięćdziesięciu osób z załogi, jutro mogą być pewne problemy z obsadą wacht, bo część ludzi pracuje teraz w swoim czasie wolnym. Ale to dla mnie żaden problem – dokończył z przekonaniem.

– To cieszę się. A co w sprawie tego... boiska? – Pika wypowiedział ostatnie słowo z nutką obrzydzenia w głosie.

– Tak, cóż, z tym może być kiepsko – spadł z piedestału Krykiet. – Widzi pan, Sparta znalazła w bazie danych wymiary boiska do półpstryka...

– No i? – ponaglił komandora Pika.

– Nie spodoba się to panu, ser... Będziemy musieli opróżnić największą ładownię – wykrztusił Krykiet i od razu lekko się cofnął, w obawie przed reakcją kapitana.

A ten najpierw poczerwieniał i aż zadrżał z nerwów, ale opanował się po chwili. – I mówi pan, że to dla nich takie ważne? – spytał tylko.

– Oj tak, ser – potwierdził skwapliwie komandor, z wyraźną ulgą. – Podobno to jakaś bardzo okrągła rocznica jest i oni w ogóle nie dopuszczają do siebie myśli, że mogliby nie zagrać...

– To jest zwyczajnie nie fair – Pika pokręcił głową. – A gdybym im tak po prostu zakazał?...

– To pański statek, ser – rozłożył ręce Krykiet – ale zaręczam, że oni wtedy rozdmuchają sprawę na pół galaktyki. Nie mam co do tego cienia wątpliwości.

– No właśnie niby mój statek, ale nie do końca – rzędził kapitan. – Żebyśmy chociaż mieli jakiś dobry powód, coś, z czym oni, jako dyplomaci, nie mogliby się kłócić...

– Pomyślę nad tym, ser. A na razie chyba najlepiej będzie, jak zarządzę opróżnianie ładowni numer cztery – rzeczowo odrzekł Krykiet.

– No dobrze – westchnął Pika. – Działajcie zatem. Ja jeszcze idę na mostek i zaraz udaję się na spoczynek. Niech pan pamięta naszą umowę – dla Plingian i Sparty jestem totalnie nieosiągalny!

* * *

Topór siedział przy łóżku szpitalnym, na którym spoczywał młody kadet. Lekarze stwierdzili, że jego stan jest dobry i lada chwila powinien się ocknąć. Topór czekał spokojnie, od czasu do czasu z lubością pociągając wdech z maski.

– Yaaawn – rozległo się w końcu ziewnięcie. Topór wstał i podszedł do łóżka tak, żeby leżący kadet wyraźnie go widział.

– Oj!... – przestraszył się maski Fafara. – Co się... kto...

Topór odjął na chwilę maskę od twarzy i powiedział:

– Spokojnie, kadecie. Waszemu życiu nic nie grozi. Jesteście w szpitalu na orbicie. Ja nazywam się Topór, jestem admirałem sztabowym i prowadzę obecnie dochodzenie w sprawie zniszczenia kanonierki, w której pan razem z instruktorem Maczetką eskortował „Największą Chwałę”.

Gdy Topór wymienił swoją rangę, Fafara usiłował stanąć na baczność, ale oplątujące go przewody aparatury medycznej nie pozwoliły mu na to. Zamiast tego więc kadet przyjął postawę zasadniczą na leżąco i zasalutował.

– Ser! – krzyknął słabo. – To nie była moja wina, ser!

– Ależ kadecie, nikt was nie obwinia za to, co się stało – uspokoił go Topór. – Prawda jest taka, że nie bardzo wiemy, co właściwie zaszło. Błysk skoku „Chwały” na moment

oślepił wszystkie sensory w promieniu kilku tysięcy kilometrów. Te urządzenia, które były dalej i dzięki temu pracowały cały czas, mają trochę za małą rozdzielczość i analizy nagrań niewiele nam mówią. Tak więc przyszedłem tu do pana, kadecie, jak tylko lekarze zapewnili mnie, że nic panu tak naprawdę nie jest i będzie pan mógł ze mną porozmawiać.

Topór skończył i wykonał zachęcający gest. Fąfara, wciąż salutując na leżąco, począł nieskładnie tłumaczyć:

– Znaczy tak, myśmy z instruktorem eskortowali krążownik, zrobiliśmy ten, no... manewr pożegnalny, a potem tamci skoczyli i my trochę oślepliśmy... Duży błysk był, naprawdę... no i jak trochę zacząłem znowu widzieć, to patrzę, a na tablicy mam czerwone lampki. Patrzę bliżej: obiekt na kolizyjnym! No, a potem to trochę już nie wiem, co się działo, chyba coś w nas walnęło i katapulta zadziałała... – Fąfara dokończył z niewyraźną miną. – To wszystko, co wiem, naprawdę...

– Hmm – Topór zaciągnął się z maski. To skojarzyło mu się z opowieściami o genialnym detektywie, co zwał się jakoś tak ‘Szary Lok’ i mieszkał gdzieś na terenie Europy kilkaset lat temu. W każdym razie ten Szary Lok lubił sobie z fajeczki pyknąć, jak dumał nad rozwiązaniem zagadki kryminalnej. Topór pociągając haust z maski poczuł się, jak tamten starodawny geniusz i postanowił, że on też swoją zagadkę rozwiąże.

– Jesteście pewni, że w ogóle nie widzieliście, co w was uderzyło, kadecie? – zapytał i znów się sztachnął.

– Nie, ser... przykro mi, ale jak tylko podniosłem wzrok znad tablicy, to właśnie kolizja się działa, znaczy... następowały... eee, już w nas walnęło – wypłatał się Fąfara.

– Rozumiem... – sztachnięcie. – Czy chcecie coś jeszcze dodać, kadecie?

– W zasadzie to nie... ale miałbym pytanie... jeśli wolno...

– Pytajcie. – Sztachnięcie.

– Jak się czuje instruktor Maczetka? – nieśmiało zapytał Fąfara.

– Instruktor jest w cięższym stanie, niż wy, ale jego życiu nic nie grozi. Wyjdzie z tego – udzielił informacji Topór i znów się zaciągnął.

– To dobrze – uśmiechnął się lekko kadet. – Nie chciałbym, żeby mu coś się stało. I była to szczerza prawda.

– Cóż, dziękuję, kadecie Fąfara – Topór stwierdził, że czas się pożegnać i iść rozgryzać zagadkę gdzie indziej. – Przykro mi, że mieliście taki pechowy lot ćwiczebny.

– Gdzie tam – zaprotestował żywo Fąfara. – To był mój najlepszy lot w życiu!

* * *

Brzęczyki alarmowe, instalowane w kajutach załóg we wszystkich statkach floty, zaprojektowane są tak, że nawet najzatwardzialsze śpiochy dają za wygraną i budzą się, żeby móc zakończyć mękę i wyłączyć natarczywy dźwięk, od którego bolą zęby i puchną opony mózgowce.

W chwili, gdy taki brzęczyk rozległ się w kapitańskiej kajucie, jej okupant śnił właśnie o koncercie na bęben i orkiestrę tradycyjnych dzwonków plingiańskich. Obudził się zatem całkiem skwapliwie, i zamiast od razu zgasić brzęczyk, leżał jeszcze przez chwilę w hałasie, wdzięczny, że sen okazał się być tylko snem.

– Mostek do kapitana – rozległo się nagle powabnym głosem porucznik Ateny. – Kapitanie, jest pan tutaj natychmiast potrzebny. Odbiór!

„A ta co, nie sypia?”, pomyślał niejasno Pika. Kliknął przełącznik komunikatora nad łóżkiem i zapytał:

– Tak, jestem, co się dzieje?

– Kapitanie, odebraliśmy wiadomość na kanale alarmowym. To z niedalekiej kolonii. Czy mam na pana poczekać z odsłuchaniem?

– A coż to za pytanie? – wzburzył się Pika. – Oczywiście, że ma pani poczekać. Zaraz tam będę! Pika bez odbioru.

Jednak zanim kapitan wybudził się na dobre, przyodział jak należy w mundur i dotarł na mostek, upłynęło dobre dziesięć minut. Gdy wreszcie dopadł swojego fotela – tym razem szczęśliwie pustego, jako że Atena obsługiwała łączność i coś tam gmerła przy konsoli – zasiadł, podniósł wskazujący palec i rozkazał: – Odtwarzać!

– ...mocy!! Jesteśmy w śmiertelnym niebez... Bzzt! Bzzt! ...giniemy! Jeśli ktoś to sły... Piii! Bzzzt! ...o pomoc!!

Pika skrzywił się. Takie alarmowe, nagrane wiadomości najwyraźniej zawsze musiały być niekompletne.

– Czy znamy źródło tego przekazu? – zapytał.

– Tak, ser – Atena kliknęła parę przycisków i na głównym ekranie pojawiła się mapa gwiazdna okolicy. Była na niej zaznaczona ich obecna trasa na Pling. A trochę w lewo od tej trasy migotał czerwony punkcik.

– Jaka to odległość? – spytał kapitan.

– Zaledwie sto siedemdziesiąt hopów, ser – poinformowała go Atena.

– Nie tak znów daleko... sygnał alarmowy, ludzie w niebezpieczeństwie – tu trzeba działać! – zarządził Pika. – Ster, kurs na tę planetę, pełna moc! – w sytuacji zagrożenia życia ludzkiego kapitan nie zamierzał przejmować się restrykcjami szybkości. – Czy ten świat się jakoś nazywa?

– Sprawdzam, ser – Atena pogmerła przy konsoli. – „Nowa Ziemia 34”.

Pika z rezygnacją pokręcił głową. – Grunt to być oryginalnym – skwitował. Następnie klepnął się w emblemat Unii na kłacie i rzekł do niego: – Kapitan do Krykieta, odbiór!

– Jestem, ser – prawie natychmiast nadeszła odpowiedź. Komandor najwyraźniej też nie spał, prawdopodobnie cały czas nadzorując prace związane z kaprysami dostojnych gości.

– Panie pierwszy, pozwól pan na mostek. Odebraliśmy przekaz alarmowy z niedalekiej planety.

– Przyjąłem ser, jestem w drodze, bez odbioru.

– Czas naszego przybycia do celu? – rzucił Pika w powietrze.

– Pięćdziesiąt dwie minuty. W zasięgu łączności bezpośredniej będziemy za troszkę ponad pół godziny – posłusznie wyłożyła Atena.

Pika odwrócił się do niej. – A pani co tu jeszcze robi w środku nocy?

Atena wzruszyła ramionami. – Nie chce mi się spać, a pewnie nie często będę miała okazję dowodzić takim statkiem, ser...

– Podwójne wachty dozwolone są tylko w sytuacjach wyjątkowych, a i wtedy wymagana jest akceptacja przełożonego oficera! Łamię pani regulamin – z całym swoim autorytetem zadeklarował Pika, ale chyba tylko mu się tak wydawało, bo w odpowiedzi usłyszał:

– To miło z pana strony, ser. Dziękuję.

Do chwili przybycia Krykieta na mostek kapitan już się nie odzywał.

– O, jest pan wreszcie – ożywił się Pika na widok wymęczonego komandora. – Lecimy na pomoc kolonii Nowa Ziemia 34. Wychwyciliśmy przekaz alarmowy dalekiego zasięgu o jakimś niebezpieczeństwie i naszym obowiązkiem jest sprawdzić to i pomóc na miarę możliwości.

– Rozumiem, ser. Zakładam, że przekaz wiele nie wyjaśnia? – domyślił się Krykiet.

– Niestety nie. W sumie to zawsze się zastanawiałem, czemu tak jest. Nagrana wiadomość prawie nigdy nie zdradza natury zagrożenia. Jakież pomysły, skąd się to bierze? – wyraził swą ciekawość kapitan.

– Cóż, to całkiem proste, ser – Krykiet jak zwykle chętnie zabrał się do tłumaczenia. – Ile razy tak naprawdę używany jest moduł wiadomości alarmowej na planecie? Raz? Dwa może? A przepisowy okres pomiędzy wymianami urządzenia to siedemdziesiąt lat. Cały ten złom stoi na deszczu, na wietrze, w zimie i w lecie, rdzewieje, starzeje się, a gdy wreszcie ktoś musi go użyć, to z reguły jest już tak zniszczony, że prawie nigdy nie nagrywa całej wiadomości. Stąd i braki w przekazach – komandor, chcąc efektownie zakończyć ten mały wykład, strzelił luźnym porównaniem: – To trochę jak z mięśniami, nieużywane zanikają, ser...

– Pouczające – stwierdził Pika. – No cóż. Panie pierwszy, mamy jeszcze dwadzieścia kilka minut do zasięgu naszych przekazników radiowych. W tym czasie zapraszam do pokoju odpraw, porozmawiamy o bieżących wydarzeniach.

* * *

Topór odczuwał lekką irytację. Przesłuchanie obu załogantów kanonierki nic nie dało, żaden z nich nie potrafił powiedzieć nic, co rzuciłoby jakiegokolwiek światło na zagadkowe wydarzenia. Nawet głębokie hausty z maski nie przywracały spokoju admirałowi, który mimo wytężonej pracy umysłowej nie dotarł do żadnych odpowiedzi. Po raz kolejny zaczął przeglądać ekspertyzy naukowców, którzy pracowali nad zebranymi szczątkami.

Jedno można było stwierdzić z całą pewnością: nie była to żadna konwencjonalna broń. Kanonierki nie zniszczyła ani wiązka energii, tak jak w przypadku promienników, nie była to żadna rakietka ani bomba, bo szczątki nie wykazywały śladów wybuchu... Również można było spokojnie wykluczyć jakąkolwiek awarię na pokładzie statku, bo żaden system nie spowodowałby tak totalnej demolki...

Wszystko wskazywało na to, że kanonierka została po prostu czymś staranowana. I to czymś o porównywalnej wielkości. Rozsypała się po kosmosie, jakby była zrobiona z klocków. A to oczywiście nie pomagało sytuacji, bo przez to załogi techniczne były w stanie zebrać stosunkowo niewiele odłamków i pozostałości do badań.

Topór łyknął tlenu z maski i skupił się na tej części raportu, która wyszczególniała skład chemiczny przebadanych szczątków. Osobna, niewielka kolumna zawierała te substancje, które normalnie nie występowały w materiałach konstrukcyjnych kanonierki. Zatem musiały pochodzić od obcego obiektu, z którym się ona zderzyła.

Skomplikowane nazwy związków chemicznych niewiele admirałowi mówiły. Świszcząc sobie pod maską, Topór rozpoczął komputerowe wyszukiwanie, mające na celu identyfikację materiałów, w których napotkać było można owe tajemnicze (na razie) substancje.

* * *

– Mamy już dane na temat kolonii. Jest stosunkowo młoda, poniżej tysiąca osadników. Na razie nie wyszli poza stadium agrokultury, mają tam trzy wioski i spokojnie uprawiają sobie ziemię. A właściwie: uprawiali, bo teraz to zupełnie nie wiadomo, co się tam dzieje. W jakim stopniu jesteśmy gotowi do działań ewakuacyjnych?

Krykiet zerknął na swój pulpit.

– Nie za dobrze – odpowiedział na pytanie kapitana. – Ładownie pierwsza i trzecia są prawie puste, ale za to druga do połowy wypełniona zapasami. Do tego w piątej upchnęliśmy wszystko, co wynieśliśmy z czwartej, żeby to głupie boisko zrobić... Piąta zapchana po dach.

Pika spojrzał chytrze. – A gdyby się okazało, że jednak ewakuacja jest konieczna, a miejsca mamy za mało, czy to przekonałoby naszych czcigodnych ambasadorów do przełożenia meczu?...

Krykiet uśmiechnął się szeroko. – Zapytam się Sparty, ale moim zdaniem nie będą protestować. W końcu każą się tytułować orędownikami pokoju i wzajemnej pomocy między rasami, to trochę głupio by im było skazać bezbronnych kolonistów na śmierć tylko z powodu wydarzenia sportowego.

– Wie pan co, panie pierwszy? – rzucił przebiegle kapitan. – Myślę, że koloniści są niezmiernie ważni dla naszej Unii i jeśli okaże się, że na tej planecie jest chociażby najmniejsze zagrożenie, to raczej będziemy zmuszeni ich ewakuować.

– Słowa prawdziwego patrioty, ser! – ledwo zdołał wykrztusić Krykiet, ze wszystkich sił próbując zdławić śmiech.

– A dziękuję, staram się – parsknął Pika. Krykiet w końcu nie wytrzymał i zaczął rechotać na całego. Dla kapitana wysiłek również stał się zbyt wielki i też zachichotał. Spirala rozrywki nakręcała się tak przez kilka minut, aż obaj, spłakani i bez sił, ciężko łapiąc oddech, spoczęli w przypadkowych pozycjach na podłodze pokoju odpraw.

– Zespół medyczny na mostek, natychmiast!! – usłyszeli nagle. Zdziwieni, przekręcili głowy w kierunku drzwi. Stała w nich przestraszona Atena z ręką na emblemacie Z.L.U.P.

Pika natychmiast zaczął się gramolić do pionu. Krykiet także. Jednak trochę im to zajęło, bo rzeczywiście brakowało im sił po napadzie wesołości. W każdym razie, gdy kapitan, przybrawszy już normalną, stojącą pozycję, obciągał jeszcze marynarkę od munduru, do pokoju odpraw władowało się kilku sanitariuszy w białych kitlach, z noszami.

– Kogo zabieramy? – zapytał jeden z nich, rozglądając się za jakimś medycznym zagrożeniem.

Pika zamachał rękami. – Fałszywy alarm. Możecie wracać, nic się nikomu nie stało. Porucznik Atena zastała nas z komandorem w chwili, gdy... – kapitan ze wszystkich sił próbował z marszu wymyślić jakieś dobre wytłumaczenie na to, że obaj z Krykietem leżeli na podłodze bezwładni jak kukły. – ...gdy obserwowaliśmy sobie gwiazdy przez okno...

Krykiet ledwo zdołał stłumić kolejne parsknięcie. Słyszając to, Pika opanował się najwyższym wysiłkiem woli. Wiedział, co by było, gdyby sam się zaśmiał.

– Czy kolonia jest już w zasięgu nadajników? – skierował pytanie do Ateny.

– Tak, ser, właśnie dlatego tu przyszedłem – wyjaśniła piękna porucznik, nie do końca rozumiejąc sytuację. – Najpierw kilka razy próbowałam panów wywołać przez interkom, potem, gdy nie odpowiadaliście, stwierdziłam, że coś jest nie tak i postanowiłam sprawdzić.

– W porządku poruczniku, jak pani widzi, jesteśmy cali i zdrowi. Ruszajmy się dowiedzieć, coż takiego przytrafiło się osadnikom, którzy odważnie i z poświęceniem budują dla nas lepsze jutro – palnął jeszcze Pika i wszyscy zaczęli wychodzić. Krykiet stęknął za nimi, że zaraz dołączy, po czym jak tylko drzwi do pokoju odpraw zasunęły się, znów ryknął ze śmiechu.

Pika, już na swoim ulubionym fotelu, polecił nawiązanie łączności z mieszkańcami kolonii. Po paru chwilach główny ekran rozjarzył się. Większość obrazu przedstawiała wnętrze jakiegoś pomieszczenia biurowego, najpewniej administracji kolonii. Zaś w samym rogu widniała przestraszona twarz kobiety w średnim wieku, z mocno rozwichrzonymi włosami.

– Halo?... Kto tam?... – wyszeptała kobieta na ekranie.

– Mówi kapitan Janusz Łukasz Pika z pokładu krążownika „Największa Chwała” – przedstawił się Pika swoim zwyczajem. – Niecałą godzinę temu wychwyciliśmy wasz

komunikat alarmowy, ale był on niepełny, tak że nie mogliśmy ustalić, co właściwie się stało. Czy mogłaby pani nam to naświetlić?

– Są wszędzie!! – zapiszczała kobieta histerycznie. – Wszyscy zginieemy!!

– Spokojnie, przylecieliśmy na pomoc! – uspokajał Pika. – Tylko musimy się dowiedzieć, na czym polega zagrożenie dla kolonii!

– Zżerają, wszystko zżerają – nieskładnie tłumaczyła kobieta. – Do lasu po drzewo poszli, ale... już nie wrócili! A potem wylazły te... te... momencik – kobieta przerwała i znikła z kadru. Dał się słyszeć dziwny odgłos, jakby ktoś tłukł szczura łopatą. Odgłos rozbrzmiał kilkakrotnie, po czym dobiegł ich głos kobiety:

– A masz, ścierwo! Żarłoku! Morderco!!

Po kolejnej chwili kobieta ponownie pojawiła się na ekranie. W ręku trzymała coś dziwnego, ociekającego zieloną mazią. – Przepraszam za to – powiedziała, znacznie już spokojniej. – A w ogóle, to gdzie moje maniery! Józefa Ropuszko, jestem naczelnikiem kolonii. Kapitanie, nawet pan nie wie, jak bardzo zbawienna jest wasza obecność. Czy wasz statek ma odpowiednią ilość miejsca, żeby nas stąd pozabierać?

– Próbujemy to właśnie ustalić. Pomogłoby nam, gdybyśmy znali liczbę osadników na planecie – odpowiedział Pika.

Twarz naczelnik spochmurniała. – Były trzy osady – oznajmiła ponuro. – Ale z pozostałymi dwiema kontakt urwał się kilka godzin temu. W głównej osadzie mieszka około 500 osób. Zabierzcie nas stąd, błagam!!

Widząc, że kobiecina znów jest bliska paniki, Pika szybko uniósł ręce w uspokajającym geście. – Bez obaw, zaraz się tym zajmiemy. Ale musimy najpierw wiedzieć, z czym mamy do czynienia. Czy to... coś, co trzyma pani w ręce, to przyczyna waszych problemów?

– Problemów? Te ścierwa wymordowały dwie trzecie moich kolonistów!! – wściekła się na powrót naczelnik Ropuszko. – To jakaś plaga piekielna, wylazły ich z lasu tysiące i rzuciły się na nas!! Kapitanie, bardzo pana proszę, jak tylko nas stąd zabierzecie, zbombardujcie całą planetę z przestrzeni! Żeby już nikt nie musiał nigdy przez tą zarazę cierpieć!!

– Zobaczymy, co się da zrobić – wymijająco odparł Pika. – Będziemy potrzebowali tego okazu, który pani trzyma, do analizy. Naczelniku, czy mogłaby złożyć truchło zaraz obok waszego nadajnika, abyśmy mogli pobrać próbki do badań?

Naczelnik Ropuszko niepewnie położyła nieżywe stworzenie na blacie przed sobą. Teraz, gdy znalazło się bliżej kamery nadajnika, Pika mógł stwierdzić, iż zwierzę było rodzajem gąsienicy bądź larwy, wielkości tak na oko, połowy łokcia. Nie zwlekając, kapitan klepnął się w klatę i wywołał maszynownię.

– Tu maszynownia, słuchamy, ser – zgłosił się dyżurny inżynier.

– Potrzebujemy użyć teleprzesyłu na dużą skalę. Prowadzimy obecnie rozmowę z naczelnik kolonii. W bezpośredniej odległości od planetarnego nadajnika znajdziecie dwie formy życia. Proszę przesłać na pokład tą, która ma mniejszą masę. To jakieś nieznane stworzenie, które najwyraźniej zaatakowało kolonistów. Jest nieżywe, ale dla pewności proszę od razu przesłać je do izolowanego laboratorium, żeby przypadkiem nie stworzyć zagrożenia dla załogi. – objaśnił kapitan – Możecie to dla mnie zrobić?

– Oczywiście, ser – zabrzmiała odpowiedź.

Na oczach Piki powietrze zamigotało wokół leżącego na stole truchła, po czym zdechłe zwierzę znikło. Na widok tego naczelnik Ropuszko pokiwała głową.

– Technika, nie powiem – powiedziała z podziwem. – Jeśli macie na pokładzie więcej takich znikaczy, to pozabieracie nas stąd migiem! Możemy zaczynać? Ja jestem gotowa!

– Zróbmy tak: my najpierw przebadamy to stworzenie, w celu wprowadzenia jego cech biologicznych do filtra naszych generatorów teleprzesyłowych. W ten sposób, zabierając

was z planety, nie zgarniemy niechcący żadnego z tych stworzeń – ostudził panią naczelnik Pika. – A pani niech w tym czasie zawiadomi możliwie jak najwięcej swoich ludzi, aby się przygotowali do opuszczenia planety. Niech nie zabierają bagażu, bo mamy niewiele miejsca na pokładzie, a kolonistów jest dużo. Dopuszczone będą osobiste drobiazgi, ale tylko te najbardziej potrzebne lub posiadające bardzo dużą wartość sentymentalną. Słowem: niech nikt nie zabiera więcej, niż sam będzie w stanie unieść. Jak tylko będziemy gotowi do rozpoczęcia ewakuacji, odezwiemy się. Pika bez odbioru.

Po całej tej przemowie kapitan dał znak Atenie, by przerwała połączenie. Ekran posłusznie zgasł, a Pika klepnął się w klatę i rzucił: – Pika do Krykieta!

– Jestem, ser – słabym głosem dobiegło kapitana z lewej strony. Okazało się, że komandor od jakiegoś czasu był już na swoim miejscu, tyle że Pika, zajęty rozmową, przeoczył jego powrót na mostek.

– O, świetnie, tu pan siedzi... Cóż, panie pierwszy, wygląda na to, że z tą ewakuacją mieliśmy rację. Zajmie się pan przygotowaniami? – spytał Pika.

– Oczywiście, ser. Pójdę nadzorować z bliska, dajcie nam tylko znać, kiedy chcecie zaczynać. Na razie przesyłajcie wszystkich do ładowni numer jeden i trzy. Potem, jeśli zabraknie miejsca, do dwójki, a jak i to nie wystarczy... – Krykiet zawiesił głos i spojrzał porozumiewawczo na kapitana.

– Jasne. Do dzieła, komandorze – z lekkim uśmieszkiem Pika odwrócił się w stronę pilotów. – Sensory! Proszę skanować bez przerwy wszystkie trzy osady, a znalezione formy życia o ludzkich cechach raportować bezpośrednio do maszynowni. Zróbmy to szybko i sprawnie, jak na załogę „Największej Chwały” przystało!

* * *

– Chciał pan ze mną rozmawiać, doktorze? – zapytał spod maski Topór, wchodząc do rozległego laboratorium.

– O, pan admirał! Tak, tak, zapraszam, mam panu coś do pokazania – stosunkowo młody biochemik był mocno przejęty wizytą takiej osobistości. – Coś mi przyszło do głowy, gdy pracowałem nad analizą składu szczątków ze statku... Tędy proszę...

Doktor poprowadził admirała w głąb przepastnego pomieszczenia, do jednego ze stołów. Na stole tym, pod kloszem, leżało kilka małych skrawków, które niczego Toporowi nie przypominały. Spojrzał zatem na chemika wyczekująco.

– Wyselekcjonowałem te małe odłamki, bo wszystkie mają wspólną cechę – zaczął tłumaczyć naukowiec. – Badałem po kolei najróżniejsze szczątki, ustalając ich skład. W pewnym momencie coś mnie tknęło. Te tutaj małe skrawki, wszystkie co do jednego zawierają sole różnych kwasów arabinowych: wapniowych, magnezowych, potasowych... – biochemik widząc, że Topór nie łapie, postanowił uprościć zagadnienie. – Te substancje, które wymieniłem, wchodzi w skład jeszcze innej, dość pospolitej, ale w sumie rzadko używanej w kosmosie. Jest nią guma arabska.

– Taki klej? – zdziwił się Topór.

– Powiedzmy, że można z niej uzyskać klej – naukowiec uśmiechnął się pobłaźliwie w obliczu tak poważnej ignorancji admirała. – Żeby się upewnić, przetestowałem te szczątki jeszcze na obecność niektórych cukrów i enzymów, które guma arabska również zawiera, i teraz jestem całkowicie pewien, że odgadłem prawidłowo. Czy to w jakiś sposób pomoże panu w śledztwie, admirał?...

Topór zastanowił się, zaciągając odruchowo powietrzem z maski. Kombinował już tyle czasu nad tą całą sprawą, eliminował różne scenariusze, sprawdzał teorie... I przyszło olśnienie! Jednej możliwości nie wziął pod uwagę.

– Dobra robota, doktorze! – poklepał po ramieniu naukowca i ruszył dziarsko do wyjścia, głośno stukając obcasami. Był w euforii. Rozwiązał zagadkę!

* * *

– Nie wiem, co mam panu powiedzieć, ser – tłumaczył się Krykiet. – Po prostu się zmieścili. W tej chwili na pokład sprowadzani są już ostatni koloniści. Ładownia numer cztery stoi zupełnie pusta...

– A niech to – Pika, trochę markotny, myślał i kombinował, ale nic nie mógł poradzić na fakt, że w momencie ich przylotu nad planetę, osadników po prostu niewielu zostało przy życiu. – Niech pan coś zrobi, panie pierwszy, może jakiś drobny fortel...

– Też mi to do głowy przyszło, ale szczerze mówiąc, ci wścibscy lokaje zaraz wszystko wywąchają. Cały czas pilnują czwartej ładowni, niby straż jakaś...

– Nie, to nie do zaakceptowania. Musi być jeszcze jakaś opcja, której nie dostrzegamy. Gdyby się tylko dało... – Pika przerwał, bo emblemat na jego piersi przemówił z nienacka:

– Kapitan Pika proszony do ładowni numer trzy. Pani naczelnik kolonii nalega, aby z panem koniecznie porozmawiać przed opuszczeniem orbity.

Pika westchnął. – A ta czego chce? – mruknął, ale odpowiedział, że już idzie.

Razem z Krykietem opuścili pokój odpraw i przeszli przez mostek do windy. Pika złapał kątem oka spojrzenie Ateny.

W małej kabince windy kapitan przemyślał to i owo, po czym podjął decyzję:

– Panie pierwszy, jak tylko opuścimy orbitę planety, proszę zdjąć z czynnej służby porucznik Atenę i przez co najmniej dwie wachty nie wypuszczać jej z kabiny. Naruszyła regulamin, siedząc przez dwie wachty na mostku bez specjalnego polecenia od zwierzchnika. Sytuacji awaryjnej na statku również nie było. Więc przez cały jutrzejszy dzień mam jej nie oglądać, rozumiemy się?

Krykiet wyjaśniał nieco na twarzy. – Z przyjemnością, ser! – rzekł tonem niemal uroczystym. Pikę zastanowiła trochę taka reakcja. – Ale czy to nie pan powinien?... – zastanowił się komandor. – W końcu to załogant mostka...

– Myślę, że panu pójdzie nieco lepiej, komandorze – uciął Pika.

Gdy dotarli wreszcie do ładowni numer trzy, zastali naczelnik Ropuszko w dość podminowanym nastroju, podniesionym głosem prowadzącą dyskusję z jednym ze strażników.

– Wszystko w porządku? – zagadnął Pika, gdy już podeszli blisko.

– Ser, pani naczelnik ma dość nietypową prośbę... – z niesmakiem rzucił strażnik.

– Słucham, co jeszcze możemy dla was zrobić, pani Ropuszko? – Pika stanął przed wzburzoną kobietą i popatrzył wyczekująco.

– Panie kapitanie... – zaczęła naczelnik niepewnie. – Ja wiem, że zawdzięczamy wam życie i w ogóle, jesteśmy wam wdzięczni co najmniej dozgonnie, ale...

– No słucham, o co chodzi – niecierpliwił się Pika.

– Widzi pan, rozmawiałam z kilkoma chłopcami od nas z osady i oni twierdzą, że zanim wszyscy pochowali się po domach przed tym pełzającym plugastwem, zdążyli zabezpieczyć największą oborę... a w niej dobrą setkę zdrowych, mlecznych krów...

Pika słysząc to, szeroko otworzył oczy i spojrzał na Krykieta. Ten chyba pomyślał sobie to samo, co kapitan, bo skinął tylko głową i pędem skoczył w korytarz, z którego przed chwilą obaj z Piką przyszedli.

Zaś zmieszana pani naczelnik, która reakcję kapitana odebrała jako oburzenie, próbowała tłumaczyć: – Zdajemy sobie sprawę, że to statek wojenny i nie chcecie brać na siebie takich ciężarów, jak my, ale proszę zrozumieć, kapitanie, te krówki to wszystko, co nam zostało... Tadeu, chodź no tutaj na chwilę! – zawołała naczelnik w stronę niedużego tłumu ocalonych kolonistów za jej plecami. – Chodź, opowiedz panu kapitanowi, jak to ratowałeś mućki...

Pika, który nie potrzebował już tego dnia żadnych nowych wrażeń, klepnął się szybko po emblemacie i szepnął: – Panie pierwszy, i jak tam idzie?

– Jeszcze chwila, ser! Musimy wszystko dobrze przeliczyć – odpowiedział emblemat głosem komandora.

– No, bo one tak muczały i muczały i tak się nam ich żal zrobiło... – tłumaczył Tadeu swe bohaterskie wyczyny. Pika czekał i czekał, a mostek nadal się nie zgłaszał.

– Panie kapitanie! Niech pan ich tam nie zostawia! One tam same, biedne takie... – naczelnik Ropuszko w desperacji padła na kolana i zaczęła błagać. Tadeu, który nie bardzo wiedział, co robić, też ukląkł i gapił się na Pikę z nierozgarniętą miną.

– O nie nie nie! – zaprotestował kapitan. – Proszę mi tu scen nie robić! Wstawać natychmiast!

Pika schylił się do biadolących i zaczął ich ciągnąć do góry. Tadeu wstał w zasadzie sam i odszedł do kolegów, ale z panią naczelnik kapitan musiał się nieco namęczyć, gdyż do najszczuplejszych nie należała.

– Niech pani posłucha! – krzyknął Pika, który miał już coraz bardziej wszystkiego dość i marzył tylko, żeby mógł wreszcie wrócić chociaż na godzinę do łóżka. – Jeśli te krowy jeszcze żyją...

– Kapitanie, gotowe! Zapraszam do czwórki! – rozległ się pełen dzikiej satysfakcji głos Krykieta. Pika nie zwlekając, złapał nieszczęsną naczelnik za rękę i zaciągnął przez korytarz przed wrota ładowni numer cztery.

Tam stało na warcie sześciu lokajów. – Wy wszyscy, możecie już wracać do swoich państw – rzucił im Pika. – Już nie jesteście potrzebni!

Z tymi słowy kapitan pacnął dłonią w przycisk otwierający. Wielkie wrota zaczęły się rozsuwać z szumem siłowników. W ładowni zapłonęło światło. Oczom wszystkich zgromadzonych ukazał się wielki, drewniany budynek. Rozprzestrzenił się mało przyjemny zapach, rozległy basowe muczenia i odgłosy mlaskania oraz żucia.

– Zadowolona?! – Pika pokazał na oborę, która zajmowała przestrzeń ładowni numer cztery prawie od ściany do ściany. Lokaje gapili się na to w absolutnym osłupieniu.

– Kapitanie złoty! – naczelnik prawie rozplakała się z wdzięczności. – Kochany!

Lecz Pika już tego nie słuchał, bo biegł do najbliższej windy. Zamknął się w kabinie, klepnął w emblemat i zarządził:

– Panie pierwszy, kurs na Pling, pełna moc. Mamy głodnych, rannych ludzi na pokładzie, nie możemy mitrężyć. Proszę skontaktować się ze Sztabem i wytłumaczyć im, że około siedmiuset kolonistów potrzebuje dachu nad głową. Niech nam wyślą jakiś transportowiec, żeby ich zabrał, jak będziemy już w drodze powrotnej na Marsa. Ja idę spać!

Była bardzo wczesna godzina, kiedy Topór dodzwonił się wreszcie do brygadzysty, którego zespół pracował przy dekorowaniu „Największej Chwały” po ceremonii nadania statkowi imienia. Zatem, gdy robotnik w końcu się zgłosił, strasznie zaspany, niewiele kojarzył i przed kilka pierwszych minut admirał nie był w stanie facetowi wytłumaczyć, o co mu chodzi.

– Fuszerka! Odwalanie roboty! Zostaniecie pociągnięci do konsekwencji, obiecuję wam! – świszczał Topór zza maski, straciwszy cierpliwość. Krzyki najwyraźniej pomogły brygadziście się w końcu dobudzić.

– Ale jaka znów fuszerka? Piętnaście lat remontuję statki, nigdy żadnej skargi nie było! – bronił się.

– Może nie było, aż do dzisiaj! – pieklił się Topór. – Żeby na taką łatwiznę iść, normalnie bezczelność! Załatwię was na cacy, będziecie na Merkurym w kopalni się smażyć!

– Ale za co? Czemu?! – przestraszył się robotnik. – Kiedy, co się stało??...

– „Co się stało, co się stało?” – przedrzeźniał Topór, rozsierzony. – litera odpadła, boście ją na klej do kadłuba dali, zamiast porządnie przyspawać, nieroby!! Kanonierka zniszczona, mogli ludzie zginąć!! To niewyobrażalne!

– Zaraz, jaki klej znowu? Litera? Chodzi o ten wielki krążownik? – próbował zrozumieć brygadzysta.

– Nie, o dorożkę na cztery koniki!! Oczywiście, że o krążownik!! Pójdziecie pod sąd wojskowy, obiecuję wam to!! – Topór, krzycząc, odkrył, iż w założonej masce jego głos brzmi dużo groźniej i tubalniej, i podobało mu się to.

– No to o jaki znowu klej chodzi! Wszystko było spawane, jak należy! Całe życie uczciwą robotę odwalam! – zdenerwował się w końcu robotnik. – Sobie sprawdźcie, jak nie wierzycie! W całym doku kamery, wystarczy obejrzeć!!

Wzmianka o kamerach nieco zbiła Topora z pantałyku. – A żebyście wiedzieli, że sprawdź! Tylko mi się nie rozłączajcie! – krzyknął do swego oburzonego rozmówcy i poszedł do komputera. Szybciutko zalogował się na swoje admirańskie hasło, które dawało mu dostęp praktycznie do wszystkiego, poszperał, pogmerał i po chwili oglądał zapisy z kamer bezpieczeństwa w doku. Przewijał w przód i w tył, aż wreszcie znalazł to, czego szukał. Niestety! Wyglądało na to, że robotnik miał jednak rację... Niemalże klatka po klatce, Topór ze wszystkich stron obejrzał proces wieszania liter na kadłubie „Największej Chwały”. Jedna po drugiej, były przytwierdzane do lśniącego poszycia przez oddziałek remontowy, uzbrojony w ciężkie, przemysłowe spawary. Nie było żadnej fuszerki, żadnego kleju.

Topór, pokonany, wrócił przed konsolę łączności. Na ekranie cały czas widniała twarz wkurzonego brygadzysty.

– Tak, wygląda, że wszystko w porządku. Sprawdzałem tylko, dobranoc – rzucił szybko Topór i wyłączył się, zanim jego rozmówca miał szansę coś odpowiedzieć.

Topór padł na jeden z foteli w swoim apartamencie. Nic już nie rozumiał. Po wyeliminowaniu wszystkich możliwości i teorii, pozostała tylko jedna: że to wcale nie był żaden atak, tylko podczas skoku urwała się z napisu na krążowniku jedna z wielkich, trzymetrowych liter, i, rozpędzona inercją skoku, grzotnęła w kanonierkę, roztrzaskując ją – i siebie również – na drobny mak. Wiadomość o gumie arabskiej w szczątkach naprowadziła admirała na ten trop. Ale skoro ewidentnie nikt niczego nie kleił, tylko praca wykonana została jak trzeba, to i tą możliwość należało odrzucić.

Topór był bardzo zmęczony. Nawet głębokie hausty z maski nie pomagały. Przymknął oczy i po chwili zachrapał w swoim fotelu. Maską zniekształcała dźwięk, powodując, że chrapanie brzmiało bardzo groźnie i nieprzyjemnie...

Pika czuł się świetnie. Raz, bo zdążył się wreszcie wyspać. Dwa, że już prawie dolatywali do systemu słonecznego Pling, bo wioząc osadników, przyspieszyli ostro, dzięki czemu ambasadorowie już za kilka godzin będą mogli zniknąć ze statku. Trzy, że wreszcie nie było widać (ani czuć) porucznik Ateny, w obecności której Pika nie był do końca sobą.

Czekała go tylko jeszcze mała przeprawa z dostojnymi gośćmi i wytłumaczenie im, dlaczego nie ma w ogóle mowy o żadnym meczu w półpstryk. Zapowiadało się całkiem nieźle, Pika czuł, że jest gotów.

– Idą, ser – szepnął Krykiet przez emblemat. Pika wstał ze swojego fotela na mostku i odwrócił się w kierunku windy. Zaraz też drzwi od kabiny rozsunęły się, a na mostek wyspał się oddział lokajów. Zabrzęczały dzwonki. Zamigotało w powietrzu od przejaskrawionych wzorów. Pika przez cały czas stał nieporuszony. Wreszcie sam ambasador Kilemol wynurzył się z kabiny windy i zaskrzeczał:

– Kapitanie! To najwyższa obraza tradycji! Czy może mi pan łaskawie wytłumaczyć, co na moim boisku robi stado brudnego bydła?!

Pika skłonił lekko głowę, klepnął się w emblemat, żeby Krykiet również mógł sobie posłuchać i rozpoczął przedstawienie.

– Dostojny dyplomato, to rzeczywiście szalenie nieszczęśliwe. Otóż wczoraj w nocy odebraliśmy alarmową wiadomość od jednej z naszych nowych kolonii. Po przybyciu na miejsce okazało się, że osadnicy atakowani są przez plagę żarłocznych gąsienic. Musieliśmy ratować tych dzielnych ludzi.

– Niech pan sobie nie kpi, kapitanie! – Kilemol postąpił dwa kroki do przodu, a Pice trochę się zakręciło w głowie od wrażeń optycznych. – Czy musieliście ratować również te dzielne krowy??

– Czcigodny panie, nie mieliśmy wyboru – grał dalej Pika. – To jedyny dobytek tych nieszczęśliwych ludzi. Musi pan wiedzieć, iż koloniści, odważni i prawi ludzie, bardzo przywiązują się do swych zwierząt. Prędzej sami pogodziliby się ze śmiercią, niż zostawili swych przyjaciół na pastwę drapieżników...

– Że co?? Co pan za brednie wygaduje! Krowa to krowa! Ryczy, żuje i daje mleko! Jest głupia jak kloc! Jak w ogóle można sugerować, że ktokolwiek mógłby się przyjaźnić z bydłem!! – gotował się ambasador.

– Ależ jak pan może tak mówić – udał zgorszenie kapitan. – Czyż nie jest tak, że wszystkie żywe stworzenia mają prawo żyć? O ile mnie pamięć nie myli, sam pan tak kiedyś powiedział, ambasadorze, popierając strajk pracowników ферmy drobiowej na drugim księżycu pana własnej planety!

– Mmm, chyba rzeczywiście tak powiedziałem – stracił rezon dostojny Kilemol. – Ale! – zaczął, łapiąc się nowego argumentu. – To wcale nie znaczy, że musiał pan tu sprowadzać całą ich oborę!! Można przecież było umieścić kilka sztuk tutaj, kilka gdzie indziej, a ja miałbym dzisiaj obiecane boisko!

– Co też pan mówi! – Pika docierał do kulminacyjnego punktu swego występu. – Toż to niezwykle rzadkie bawoły rigeliańskie! Muszą żyć cały czas w stadzie! Rozdzielone na mniejsze grupy, pozdychałyby! – kapitan zrobił krótką pauzę przed wbiciem ostatniej szpili ambasadorowi. – A poza tym, są pod ścisłą ochroną. I niech pan mi teraz powie, dostojny ambasadorze, czy jeden mecz w półpstryk wart byłby tak wielu żyć tych wspaniałych, łagodnych i dobrotliwych zwierząt?...

Kilemol zaczął się wyraźnie trząść. – Gmh!... Wwwg!... – zabełkotał, prawdopodobnie powstrzymując lawinę niepochlebnych określeń, które cisnęły mu się w tym momencie na usta. – Na fałszujące organy Trójkątnej Kaplicy!!!! – wyrwało mu się w końcu, i czmychnął jak niepyszny do windy.

Lokaje, wzięci z zaskoczenia, nieco po fakcie i z kiepską synchronizacją machnęli swymi dzwonekami, po czym oddalili się za swym panem.

Na mostku zapanowała błoga cisza..., którą po chwili przerwało jakieś zduszone chrząkanie i parskanie z okolic klaty kapitana. Pika pacnął w emblemat, gdyż rehot Krykieta w tym momencie nie należał do rzeczy, z którymi chciał się zмагаć. Kapitan spokojnie wrócił na swój fotel, zasiadł w nim i spytał:

– Czy dolatujemy wreszcie?

– Piętnaście minut, ser – odpowiedział zza konsoli pilota Niedolega.

– Świetnie. Jak tylko zaczną nas wywoływać plingiańskie patrole, proszę bez pytania od razu dawać na główny ekran – zażyczył sobie Pika i wygodnie rozwalił w kapitańskim fotelu. Wyglądało na to, że wspólnym wysiłkiem udało się zmienić ten koszmar w coś, co zaczynało powoli przypominać normalną misję. Jeszcze tylko kilka rozmów z patrolami Pling (planeta miała dwanaście księżyców, a przy każdym wisiała jakaś baza albo krążył statek patrolowy), potem przeładunek szanownych i wielce poważanych gości na plingiański statek i do domu! Po drodze, na co liczył Pika, uda się również pozbyć z pokładu kolonistów.

– Witam o kryształowej godzinie poranka! – ostry dźwięk dzwonka wybił kapitana z rozmyślań. Szybkie spojrzenie na ekran przywróciło go do rzeczywistości. Widniał tam wielki, zarośnięty czerep plingiańskiego dowódcy. Pika poprawił się gwałtownie w fotelu.

– Witam również, Janusz Łukasz Pika z pokładu „Największej Chwały”! – odpowiedział na powitanie kapitan.

– Dzięki składamy za pomoc w podróży naszym najczcigodniejszym dyplomatom – powiedział Plingiańczyk i znów zadzwonił swym tradycyjnym instrumentem.

Pika nie był do końca pewien, ale miał wrażenie, że, podobnie, jak dnia poprzedniego kapitan Lanca, jego rozmówca jest podejrzenie rozbawiony... Ciężko to było stwierdzić z całą pewnością, gdyż dowódcy plingiańskich jednostek zaplatali swój gęsty zarost w rodzaj grubych dreadów, które zasłaniały im większość twarzy.

– To dla nas zaszczyt, służyć tak znamienitym dostojnikom – odpowiedział Pika już nie tak przyjaźnie. Plingiański dowódca zerwał połączenie.

„To nie może być zbieg okoliczności”, stwierdził kapitan. „Jeśli to się znowu powtórzy, to chyba będę musiał podjąć jakieś środki”.

Upłynęło trochę czasu.

– Witam na kryształowym szlaku gwiazd! – gromko rzucił dowódca kolejnego plingiańskiego okrętu.

Pika już teraz wyraźnie widział, jak tamtemu jest wesoło. Zdawkowo odpowiadał na uprzejmości, a jak tylko połączenie zgasło, klepnął się w emblemat i powiedział:

– Mówi kapitan Pika. Dajana Sparta, proszę natychmiast stawić się na mostku.

Po czym zwrócił się do pilotów:

– Ile jeszcze księżyców będziemy mijać, zanim osiągniemy orbitę planety?

– Trzy, ser – odpowiedział drugi pilot, obsługujący sensory.

– Powinno wystarczyć – stwierdził Pika i czekał.

Sparta wbiegła na mostek po kilku minutach. Przedstawiała sobą dość opłakany obraz, gdyż wyraźnie nie spała w nocy, włosów podczas biegu na mostek też raczej nie zdążyła poukładać, mundur miała cokolwiek wymięty... Pika doskonale wiedział o jej roli przy spełnianiu ambasadorskich zachcianek, pamiętał również, że Sparta miała niedokończony raport na głowie. Ale nie było mu jej jakoś szczególnie szkoda.

– Doradca Sparta melduje się posłusznie – wydyszała telepatka, stając przed kapitańskim fotelem.

– Siadajcie.

Pika przez chwilę obserwował doradczynię. Z oczu wyczierała jej dzika nadzieja, którą nieudolnie próbowała przed nim ukryć. „Ona naprawdę strasznie chce tej posadki”, pomyślał sobie kapitan i zwrócił się do Sparty:

– Doradco, potrzebuję skorzystać z pani szczególnych umiejętności. Od wczoraj dowódcy każdego statku, z jakim nawiązujemy kontakt, wydają się być czymś wielce rozbawieni. Chciałbym, aby potowarzyszyła mi pani przez kilkanaście minut i spróbowała dojść, co jest przyczyną ich dobrego humoru.

Sparta kiwnęła głową. – Rozumiem, ser.

– Doskonale. Ja będę z nimi rozmawiał, a pani niech robi swoje.

Poczekali chwilę i już zgłaszał się kolejny plingiański dowódca. Pika trochę przedłużył zwyczajowe powitania, żeby dać telepatce trochę więcej czasu na wysondowanie jego rozmówcy. Wreszcie jednak rozłączyli się. Kapitan spojrzał wyczekująco na Spartę.

– Ehm... ciężko stwierdzić – niepewnie wyznała doradczyni. – Z pewnością było mu wesoło, a powód związany był z naszym statkiem.

– To wielka przenikliwość z pani strony – chłodno zakpił z niej Pika. – Będziemy mieli jeszcze tylko dwie szanse, może następnym razem pójdzie pani lepiej.

Sparta opanowała złość, chociaż nie bez pewnego wysiłku.

Po chwili Pika znów wymieniał powitania i uprzejmości, a gdy skończył, Sparta rozłożyła ręce.

– To nie takie proste, wyczytać tak konkretną rzecz w czyimś umyśle – tłumaczyła. – Wiem tyle, że w naszym statku musi być coś, co ich rozśmiesza, ale jednocześnie nie chcą o tym mówić. To jest związane z wyglądem samego statku... Przykro mi, że nie mogę nic więcej panu powiedzieć, ser – zakończyła z gestem bezradności.

– Taaak – mruknął Pika. – Dolatujemy już do samej Pling. Będzie pani teraz miała ostatnią szansę. Liczę na jakieś wyniki.

Minął niedługi moment.

– Czyste jest niebo, a ziemia płodna tam, gdzie stapała twa dusza pogodna – śpiewnym głosem przywitał się kapitan patrolowca planety Pling. I oczywiście machnął dzwonkiem.

– Witam z pokładu krążownika „Największa Chwała”. Jestem kapitan Janusz Łukasz Pika, przywozimy z Ziemi dostojnych państwo ambasadorów – przywitał się w przyspieszonym tempie Pika, który w tym momencie już nie liczył na pomoc od Sparty. – Czy transport orbitalny jest już gotowy na przejęcie naszych znamienitych gości?

– Ja sam będę pilotował statek, który zabierze na pokład Jego Doskonałość wraz z Popularną Małżonką.

– Doskonale! Możecie cumować przy słuzie numer sześć – Pika już odliczał sekundy do pozbycia się Niesamowicie Upierdliwych Gości z pokładu.

– Ach, taka mała sprawa jeszcze – przypomniał sobie Plingiańczyk. – Nie ma pan nic przeciwko, żeby zabrać z powrotem na Ziemię zmiennika Ich Dostojności?

Pika zbladł. Tego się zupełnie nie spodziewał.

– Yhm... nikt mnie nie powiadomił, że w powrotną podróż mamy również transportować dyplomatów... Jesteśmy trochę nieprzygotowani, dodatkowo mamy na pokładzie kilkuset głodnych i zmęczonych osadników, którzy ostatnio wiele przeszli i musieliśmy ich ewakuować z kolonii – Pika szukał w głowie każdego możliwego wykrętu.

– Kapitanie, zaręczam, że w ogóle nie odczujecie obecności ambasadora Dysyzakila. A cała społeczność Pling odbierze to jako wyjątkową przysługę. To jak? Załatwione? Świetnie, zatem dokujemy niezwłocznie przy słuzie numer sześć.

Ekran zgąsł. Pika głośno przełknął ślinę. Przypomniał sobie o obecności Sparty i spytał ją szybko:

– A tym razem? Może coś więcej?

– Ser, jedyne, co wychwyciłam, to kilka niezbyt pochlebnych słów, które pojawiły się w jego umyśle, gdy wymienił pan nazwę naszego statku – oznajmiła Sparta.

– O? – zainteresował się Pika. On sam już wcześniej zauważył, że dowódcy innych jednostek najbardziej weseleli w momencie, gdy nazwa ta padała z jego ust. – A co to za słowa?

– Cóż, nie wiem, czy powinnam – krygowała się Sparta. – Jak już mówiłam, to nie są najprzyjemniejsze epitety...

– Dobrze, nieważne, proszę powiedzieć – zniecierpliwiał się Pika.

– Tak, ser... No więc, najpierw pomyślał o panu... wychwyciłam słowo „wieśniak”...

– W porządku, może pani odejść – sucho rzucił kapitan. Jednak nie chciał słuchać dalej.

Zły i rozczarowany Spartą, Pika poczekał, aż ta zniknie z mostka, po czym wywołał przez emblemat Krykieta i kazał mu odeskortować czcigodnych gości pod szóstą służbę. Sam też zaraz wstał z fotela i ruszył w to samo miejsce.

A sama Sparta, wracając do swojej kajuty, nuciła pod nosem wesołą piosenkę. Nawet nie wiedziała, jak szybko los podsunie jej okazję zemsty na kapitanie. Niedużej, ale zawsze. Doskonale wiedziała, czemu wszyscy się śmieją z Piki. Szczerze mówiąc, sama miała ochotę parsknąć śmiechem, ale jakoś się powstrzymała. Na koniec zupełnie zełgała z tymi epitetami, bo Pika nie za bardzo chciał się wkurzyć.

„No, to jeszcze tylko trzeba docisnąć Krykieta i będzie dobrze”, pomyślała i wróciła do kończenia tego uprzykrzonego raportu.

* * *

Topór obudził się z maską na twarzy. I od razu miał nowy pomysł. Przeciągnął się i chyżo podbiegł do konsoli łączności. Wybrał numer.

– Doktorze, to znowu ja, admirał Topór – przedstawił się pospiesznie, nie chcąc wdawać się w zbędne gadki. – Proszę mi jeszcze powiedzieć, czy guma arabska ma również inne zastosowania, niż tylko jako klej?

– Ależ jak najbardziej, niech pomyślę... stosuje się ją w przemyśle spożywczym, farmaceutycznym, w tak zwanej szlachetnej fotografii, przy produkcji niektórych farb i barwników... – wyliczał naukowiec.

– O! O to mi właśnie chodziło. Dziękuję, doktorze – rzucił Topór i wyłączył się od razu. Następnie wstał, zasiadł za swoim komputerem, ponownie wbił swoje magiczne haselko i zaczął grzebać w sieci. Wywołał specyfikację techniczną napędu NSP „Największej Chwały”. A potem przystąpił do obliczeń i symulacji. Pracując, mruczał sobie pod maską jakąś mroczną, marszową melodię...

* * *

Zejszcie ambasadorów z pokładu dziwnym trafem poszło szybko i gładko. Nie było żadnych przedstawień, dostojni goście nawet nie raczyli się pożegnać. Jak tylko włączył służby stanął otworem, wpakowali się do niego tak szybko, że lokaje nawet nie zdążyli wyjąć swoich dzwoneczków, a już musieli ich gonić.

Włączył zamknął się.

– To nieludzkie, wciskać nam jeszcze jednego w drogę powrotną – mruczał zgaszony Krykiet.

– Niech mi pan nawet o tym nie wspomina – z podobnym entuzjazmem odpowiedział na to Pika. – Dobrze, że przynajmniej dekoracje zostały, może mu się spodobać i załoga wreszcie odpocznie...

Światelka śluzy błysnęły, sygnalizując rozpoczęcie się kolejnego cyklu, a to znaczyło, że ich nowy gość już wszedł na pokład.

Właz otworzył się.

Pika z Krykietem ponuro cofnęli się pod ścianę i zwiesili głowy.

Pojawiła się noga. Za nią druga.

I nic więcej.

Kapitan z komandorem czekali w atmosferze obojętnej rezygnacji.

Nic się nie działo.

Żadnych lokajów, dzwonków, nic.

Czekali nadal.

– Przepraszam, bo muszę zapytać: umarł ktoś? – rozbrzmiało w przedłużającej się ciszy.

Pika nieufnie uniósł nieco głowę.

Przed nimi, stojąc w pozycji, którą można by było uznać za wyluzowaną, stał Plingianin w średnim wieku. Ubrany był w szarą, skromną tunikę. Żadnych lokajów nadal nie było widać.

– Ehm... – Pika pozwolił sobie na odrobinę nadziei i postanowił działać. – Czcigodny ambasador Dysyzakil, jeśli się nie mylę?

– Ale jaki tam znowu czcigodny. Czcigodny to będą na mnie mówili, jak dożyję wieku swojego pradziadka – konwersacyjnym tonem zaoponował dyplomata. – No co, będziemy tak stali? Panowie macie z pewnością mnóstwo roboty, naprawdę nie chciałbym was zatrzymywać. Niech mi ktoś po prostu pokaże drogę do kajuty, dalej sobie sam poradzę...

Krykiet z Piką spojrzeli po sobie, wietrząc okrutny żart.

Dysyzakil w geście niezrozumienia rozłożył ręce. – O co chodzi? Stało się coś? Aaa! – klasnął nagle w ręce. – Przecież wyście wieźli Jego Doskonałość wraz z Popularną, teraz wszystko rozumiem! Moi drodzy, ten czarny moment w waszym życiu już się zakończył, możecie mi wierzyć... Oni zawsze tak dają w kość. Ale ja taki nie jestem, bo dzieli nas siedem pokoleń różnicy – tłumaczył ambasador, a słuchając go, kapitan z komandorem wyraźnie rośli w siłę. – W sumie to się nie dziwię, myśleliście, że dostaniecie kolejnego zrzędu, któremu się nic nie podoba... No to się otrząśnijcie, bo mnie to wystarczy tylko pokój pokazać i możecie o mnie zapomnieć aż do przylotu na Ziemię.

Ulga w oczach Krykieta była przemożna. – Tak, oczywiście, pan pozwoli, ambasadorze...

– Dysyzakil jestem – dyplomata uścisnął dłoń komandora i zaraz potem również kapitana. – Ale mówcie mi Zak, będzie krócej. Fajny statek macie.

– Janusz Łukasz Pika, jestem kapitanem, a to mój pierwszy oficer, komandor Miriam Krykiet – dopełnił formalności Pika, któremu również sporych rozmiarów gład z łoskotem (metaforycznym) spadł z serca.

– Proszę za mną, zaprowadzę do kajuty – Krykiet wskazał korytarz przed sobą.

Ruszyli. Pika, który jeszcze nie ochłonął z wrażenia, podreptał za nimi.

– Ale mam nadzieję, że nie dacie mi kabiny po tych starych piernikach, co? – nawijał Dysyzakil, w skrócie Zak. – Od tych esów-floresów zasnąć bym nie mógł.

– Mamy do dyspozycji wiele różnych kajut, do wyboru, do koloru – uspokoił ambasadora Krykiet.

– Ej, no to super! A co w ogóle u was słyszać? Tak rzadko mam okazję polatać po kosmosie... nic, tylko posiedzenia, negocjacje, wkuwanie postulatów i regulek... – w tym momencie dyplomata zatrzymał się jak wryty. – Co to za zapach?...

Pika poczuł w sercu mrożące ukłucie.

– To, ehm – przygotował się do wciskania kitu Krykiet, ale kapitan uciszył go gestem. Tak miły (w zupełnie niesarkastycznym znaczeniu słowa) gość zasługiwał, by powiedzieć mu prawdę.

– Po drodze na Pling ewakuowaliśmy mieszkańców młodej kolonii – powiedział bez ogródek. – Oprócz samych kolonistów zabraliśmy również oborę pełną bawołów rigeliańskich.

Oczy Dysyzakila robiły się coraz większe. Tymi oczami popatrzył najpierw na Pike, potem na Krykieta (który już przeczuwał najgorsze możliwe scenariusze)...

...i nagle, z dzikim wrzaskiem, wyskoczył jak szalony do góry!

– Ju-huuu! Wieśniacy!! Rodeo!! Corrida!!! – dał się Plingiańczyk, a w pewnym momencie przypadł do Krykieta, złapał go za mundur i zawył: – Kapela! Powiedzcie mi, że mają tu kapelę country!! Na co czekamy, zabierzcie mnie tam natychmiast!!! – z tymi słowami młody ambasador pomknął w głąb korytarza. Krykiet, wciąż jeszcze w szoku, zaczął go gonić.

A Pika tylko potrząsnął głową i skierował się na mostek. Po drodze dał sygnał do odlotu. „Największa Chwała” znów pruła przestrzeń.

– Jest dla pana wiadomość ze Sztabu, ser – usłyszał kapitan, jak tylko postawił stopę na mostku.

– Odbiorę w pokoju odpraw – odparł i tam się od razu też skierował. Wszedł, usiadł, włączył swój ekran, wpisał szybko hasło.

Ekran wypełniły linijki tekstu. Kapitan przeczytał komunikat, wyłączył ekran i wrócił na mostek.

– Ster, kurs zero-zero-cztery – zakomenderował. – Połowa mocy napędu! Mamy spotkać się ze statkiem, który zabierze od nas kolonistów. Będzie nas wywoływał, w ten sposób łatwiej się znajdziemy.

– Takjest, ser! – za sterami siedział z kolei Niewypał.

Statek zmienił kurs.

Nie trzeba było długo czekać, aż nadszedł sygnał. Kierując się na źródło transmisji, krążownik Piki bez problemu odnalazł drugi statek.

– Otworzyć kanał komunikacyjny – zażyczył sobie Pika.

– Mamy odbiór!

– Na ekran.

„Kolejny kapitan... ale ten się przynajmniej nie uśmiecha”, pomyślał Pika na widok jeszcze jednej twarzy na ekranie. – Witam, kapitan Janusz Łukasz Pika z pokładu „Największej Chwały” – rzucił swe standardowe powitanie.

– Skipper Machloja, prywatny kajutowiec „Komforcik”. Witam, kapitanie. Jak rozumiem, macie dla mnie jakiś ładunek?

– Owszem – odrzekł Pika – chociaż ja bym nazwał ich raczej pasażerami.

– Oczywiście, że pasażerami, innego ładunku nie wożę – wyjaśnił Machloja. – Czy mam wysłać ładowniki, dokujemy, czy jeszcze inaczej załatwimy sprawę?

– Niech pan tylko spokojnie sobie poczeka, my się wszystkim zajmiemy – mając za sobą przewagę wyposażenia i techniki, Pika mógł pozwolić sobie na podobny gest. – A czy jest pan świadom, panie Machloja, że oprócz osadników mamy tu jeszcze oborę pełną rigeliańskich bawołów?

– Bydło wożę średnio dwa razy w tygodniu, mam wprawę – powiedział skipper. – O rachunek też się pan nie musi martwić, kapitanie. Często latam na kontraktach rządowych, płacą mi ryczałtem.

– Świetnie. Zatem zaczynamy przenosić kolonistów. Pika bez odbioru.

Wystarczyło potem tylko parę komend, kilka minut, nieco pracy generatorów teleprzesyłowych i już było po krzyku. Pika kazał ponownie wywołać dowódcę statku pasażerskiego, a gdy ten pojawił się na ekranie, rzucił:

– Dziękuję za miłą współpracę, panie Machloja. Mam nadzieję, że wynagrodzenie otrzyma pan sowicie.

– Nigdy jeszcze nie żałowałem współpracy z flotą i rządem, kapitanie. Niech się pan już o nic nie martwi. Mam koordynaty nowej planety dla osadników, a dzięki wam zaczną od razu z jedną całą oborą... – humorystycznie zakończył skipper.

– Cóż, ma pan rację – zgodził się Pika. – W takim razie szerokiej przestrzeni życzę...

– Jeszcze jedno, kapitanie – wtrącił się Machloja. – Mówił pan, że jak się wasz statek nazywa?

– „Największa Chwała” – trochę podejrzliwie odpowiedział Pika. – A czemu pan pyta?

– A nic, bo wydawało mi się, że na burcie pisze trochę co innego... Szerokiej przestrzeni. Machloja bez odbioru.

Ekran zgasł, a Pika ukrył twarz w dłoniach. Chwilę tak posiedział, po czym bardzo powoli uniósł rękę do emblematu, klepnął weń i niesamowicie spokojnym tonem powiedział:

– Mówi Pika. Panie pierwszy, pozwoli pan tu do mnie.

* * *

Topór jeszcze raz sprawdził wyniki. Okazało się jednak, że miał rację, chociaż zagadkę rozwiązał przez pomyłkę. Nie tracąc czasu zgrał swoje obliczenia na kostkę i pomknął do najbliższej kabiny teleprzesyłowej, aby jak najszybciej dostać się do siedziby Sztabu Głównego.

* * *

– Obawiam się, że tak, ser – grobowym głosem potwierdził Krykiet.

– Zgubiliśmy jedną?

– Owszem...

– Którą?

– Wu...

– W nazwie mamy dwie litery ‘w’. Byłby pan tak łaskaw i powiedział mi, którą dokładnie?

Krykiet bez słowa podał kapitanowi zrobione z przestrzeni kosmicznej zdjęcie kadłuba krążownika. Widniał na tym zdjęciu wyraźny napis.

Głosił: **NAJWIĘKSZA CHWAŁA.**

* * *

Pika nie rozumiał, czemu tak długo po wyjściu ze szpitala, admirał Topór wciąż nosi maskę tlenową.

– Admirale, czy ze zdrowiem wszystko dobrze? – zapytał z grzeczności.

– Oczywiście, a czemu miałoby nie być? – zdziwił się Topór.

– A nic, bo pan tak cały czas z tą maską, to pomyślałem sobie, że może jakieś komplikacje były...

– Nie, to nie tak, po prostu się jakoś przyzwyczaiłem i dlatego ją noszę – zaświszczał Topór, a Pice znów się skojarzyło. – Ale nie dlatego dzwonię. Musicie uważać! Podczas skoków mogą odpaść wam litery z napisu na kadłubie, jedną już zgubiliście!

– Tak, admirale, właśnie to odkryliśmy... – ponuro obwieścił Pika. – Taki wstyd...

– Wstyd? A dlaczego wstyd? – nie rozumiał Topór.

– Jak pan może się jeszcze pytać?? – Pika pozwolił, aby rozgoryczenie przez chwilę zdobyło nad nim kontrolę. – Wszyscy nas tak oglądali! Jak się wreszcie zorientowaliśmy, to myślałem, że się pod ziemię zapadnę ze wstydu!

– Chwila – wtrącił się Topór. – A która litera właściwie odpadła?

– ‘W’.

– No to co tyle szumu, że niby wstyd? To jeszcze nic takiego nie... aha – Topór przypomniał sobie, że litera ‘w’ występuje w dwóch miejscach napisu. – Ojoj, musi się pan czuć teraz fatalnie – zatroskał się.

– Muszę? – prychnął Pika. – Już lepiej o tym nie mówmy, bardzo bym prosił...

– Jasne. To do zobaczenia za kilka godzin. Wracajcie cali i zdrowi. Topór bez odbioru.

Pika, pogrążony w apatii, nawet nie podniósł ręki, żeby zgasić ekran.

* * *

– Tak w ogóle, to dzięki za pomoc. Bez ciebie pewnie byśmy nic nie zdziałali – mówił Krykiet z ekranu.

– Tak, wiem o tym – podziękowania nie były wiele warte dla Sparty. – A co z naszą małą umową?

– Mówiłem ci już, dostaniesz, czego chciałaś – odparł z niechęcią komandor. – Ale jeśli dasz jakąś plamę, to jesteś zdana tylko na siebie. Pika nie znosi cię jeszcze bardziej, po tych twoich ostatnich wygłupach.

– Mówiłam ci już, że nie lubię, jak się mnie publicznie upokarza – Sparta wzruszyła ramionami. – Musiałam mu utrzyć nosa. Zresztą nie lubię również, jak się mnie szantażuje. Od tej pory, jeśli będziemy coś wspólnie robić, masz mnie traktować po ludzku, a nie jak jakieś popychadło. Podpadniesz mi, to kapitan się dowie – ode mnie – dlaczego tak naprawdę wtedy w Pasie wróciłeś na mostek. On ci ufa, wiesz? – Sparta rozkoszowała się narastającą złością Krykieta. – Takie zaufanie zawiedziesz raz i... papa komandorze, będziesz sobie mógł szukać innej jednostki. A jeśli dobrze szacuję, jakie Pika ma wpływy w sztabie, będzie to pewnie barka do wywozu odpadków na Słońce...

Krykiet wyłączył się bez słowa. Ale ekran, zamiast się wyciemnić, pokazywał obecność nowej wiadomości w skrzynce.

Po dwóch kliknięciach Sparta czytała taki oto tekst:

Doradco!

Komandor Krykiet poinformował mnie o pomocy, jakiej udzieliła mu pani podczas problematycznej opieki nad parą plingiańskich ambasadorów. Chciałbym, aby wiedziała pani, iż doceniam to, cenię sobie również pani szeroki wachlarz zdolności i talentów. Zatem pragnę poinformować, że w świetle ostatnich wydarzeń, przywracam panią do aktywnej służby na mostku. Ufam, że poradzi sobie pani nieco lepiej, niż przy ostatnich kilku podejściach.

*Z poważaniem
kpt. J.Ł.Pika*

PS. Oczywiście najpierw chciałbym wreszcie zobaczyć z dawna wyczekiwany raport...

Sparta wyrzuciła w górę obie ręce w geście triumfu.
Machina wreszcie ruszyła z miejsca.
Jej Wielki Plan zaczął się realizować.

* * *

Kadet Fąfara czuł się wyśmienicie. Po tak długim okresie strasznej nudy, w jego życiu wreszcie wydarzyło się coś ciekawego. Po kraksie z ogromną literą nie odnieśli z instruktorem żadnych większych obrażeń, personel medyczny dał im zielone światło na kontynuowanie lotów.

Dostali nowy statek, i to nie tylko w sensie, że nowy dla nich, ale – dopiero co zwodowany. Wszystko w kabinie było lśniące, świeżutkie, bez śladów zużycia... Fąfara był w tak dobrym nastroju, że ani mu w głowie było narzekanie, a statek prowadził wzorowo. Instruktor Maczetka nie miał zatem najmniejszych powodów, żeby go strofować.

Wylatywali z hangaru bazy w niezwyklej dla siebie, spokojnej i przyjaznej atmosferze.

– I jak się prowadzi? – spytał Maczetka, czując się trochę nieswojo, bo powiedział to zupełnie cichym, normalnym tonem.

– Jak po sznurku, czuć, że to nówka sztuka jest – odparł równie spokojnie Fąfara.

– Więc, tego... rozumiem, że pytaliście o mnie w szpitalu? – Maczetka wręcz pałał skrepowaniem.

– A, bo ja tak tylko – bieżący temat kadeta też najwyraźniej zbijał z tropu.

– Znaczy, bo chciałem powiedzieć – jękał się instruktor – że zastanawiałem się nad najbliższymi lotami i pomyślałem sobie, że moglibyśmy odwiedzić, na przykład, orbitę Wenus...

Fąfarze opadła szczeka. Bardzo nisko.

– To jest, oczywiście, jeśli znów nie narozrabiacie – zastrzegł się szybko Maczetka, który przypomniał sobie, do czego bywał zdolny jego wychowanek.

Tablica błysnęła lampkami i w polu widzenia pojawił się wielki krążownik.

– No dobrze, kadecie, wiecie co robić... mijacie od lewej burty, potem ciasny zakręt i doganiacie ich od rufy...

– Skoro wiem, to nie trzeba mi mówić – upomniał instruktora Fąfara.

– Tak, racja... No, to do dzieła...

Kanonierka minęła się z wielkim statkiem i zakręciła płynnie.

– Uwaga, eskorta – rozległo się nagle w głośnikach. – Mówi kapitan Pika z pokładu „Największej... ehm, Chwały”. Za chwilę przeprowadzimy gwałtowną dekompresję ładowni numer cztery...

Obaj załoganci kanonierki ze skupieniem słuchali komunikatu.

– W ładowni tej znajduje się obecnie znaczna ilość nawozu pozostała po stadzie rigeliańskich bawołów. Doradzam odsuniecie się w kierunku którejś z burt, zanim cała zawartość ładowni wyleci w przestrzeń za nami. Pika bez odbioru.

– Czy on powiedział: nawóz? – z obrzydzeniem spytał Maczetka.

Fąfara nic nie odrzekł, bo odkrył właśnie pewien problem.

– Taki wielki człowiek i gnój w ładowniach wozi?? – instruktor był tak zszokowany i zniesmaczony, że kompletnie zignorował szarpiącego się ze sterem kadeta.

– Mamy awarię, ster nie reaguje! – krzyknął Fąfara, kiedy zrozumiał, że nie odzyska kontroli nad kanonierką.

– I pomyśleć, a miałem go w takim poważaniu... – kręcił głową Maczetka, a oprzytomniał dopiero na widok ogromnej, czarnej masy pędzącej w ich stronę.

– Kadecie, manewr wymijający! Szybko!! – wrzasnął, a Fąfara dostał napadu histerycznego śmiechu.

– Hyhyhy!... nie... nie mogę, brehehe! Ster... nie działa... huhuhu!...

– Kadecie!! Natychmiast przestańcie sobie żartować i wykonajcie rozkaz!!! – pienił się Maczetka, ale już było za późno.

Fąfara, gdyby nie pasy, pewnie zsunąłby się z fotela, tak opętańczo rżał. A jego instruktor ze zgrozą i skrajnym obrzydzeniem obserwował, jak ze wszystkich stron pochłania ich czarne, lepkie i śmierdzące morze...

Minęło trochę czasu.

– To był najlepszy tydzień w moim życiu – stęknął Fąfara ze swojego fotela, ocierając łzy z oczu.

– Wiecie, z tą Wenus – śmiertelnie poważnym tonem wycedził Maczetka – to ja tylko żartowałem.

Życie wróciło do normy...

* * *

Kapitan Pika miał nadzieję, że odprawa z Toporem będzie tym razem krótka.

– Proszę się nie przejmować, kapitanie, z wyliczeń jasno wynika, że przy tak dużej mocy waszego napędu NSP, lepiej litery namalować na kadłubie, niż je przymocowywać – zaczął admirał. – Zorganizowałem już zespół, który lada chwila zacznie demontaż napisu, potem do akcji wkroczą lakiernicy i będzie po sprawie.

Pika milczał i z kamienną twarzą gapił się w blat stołu.

– Może... może chciałby pan wybrać krój czcionki? W tej chwili mamy zupełnie wolną rękę, możemy zrobić sobie kilka wizualizacji komputerowych, zobaczyłby pan, czy mu się podoba... – Topór próbował trochę podnieść kapitana na duchu. Bezskutecznie.

– Wszystko mi jedno – beznamiętnie odpowiedział Pika.

– Cóż... jeśli to cokolwiek zmieni, to chciałbym, żeby pan wiedział, iż robiłem wszystko, co w mojej mocy, aby rozwikłać tę zagadkę... Gdyby udało mi się wcześniej dojść do rozwiązania, dałbym wam znać wcześniej... – tłumaczył się Topór, ale Pica chyba rzeczywiście było wszystko jedno, bo tylko pokiwał głową i nadal nic nie mówił.

– Tak... – admirał dla dodania sobie animuszu pociągnął haust z maski. – Przejdźmy zatem do innych spraw... – Topór zerknął na pulpit z raportami. – O, właśnie! Pewnie zainteresuje pana wiadomość, że wszyscy osadnicy, których udało wam się ocalić z Nowej Ziemi 34 są już bezpiecznie ulokowani na przyjaznej planecie. Zakładają z zapalem nową kolonię, jeszcze jej nie nazwali, ale z pewnych źródeł wiem, że rozważają nazwę „Janusz Łukasz”...

Topór zawiesił głos, obserwując, jakie wrażenie wywarła ta wieść na kapitanie. W końcu to nie lada zaszczyt, mieć kolonię nazwaną własnym imieniem. Ale Pika tylko uniósł brwi i rzucił: – To miło.

Po czym nadal gapił się tępo w blat.

Admirał, pociągnawszy mocno z maski, stwierdził, że nic się z kapitanem póki co nie da zrobić, i postanowił jak najszybciej doprowadzić odprawę do końca.

– Tak, co dalej... – kontynuował. – Te dziwne, glizdopodobne stworzenia, które zaatakowały kolonistów, stanowią nielichą ciekawostkę przyrodniczą. Zrobiliśmy wstępne badania na tym okazie, który przywieźliście ze sobą i wygląda na to, że jest to organizm, którego system trawienny to prawdziwa fabryka chemiczna. Są absolutnie wszystkożerne. Do tego z obliczeń wynika, iż mogą osiągać ogromne rozmiary, nawet do pół kilometra długości. Sęk w tym, że wilgoć źle na nie działa. W tej chwili realizowany jest program badawczy, w obrębie którego kilka sztuk zostanie zabranych z Nowej Ziemi 34 i przetransportowanych na bezludną, pustynną planetę. Może tam będzie im się lepiej rosło, a nam łatwiej je badało. Co jeszcze... – Topór kliknął w swój pulpit. – W zasadzie to wszystko na dziś – postanowił. – Pozostało mi tylko jeszcze poinformować pana o kolejnym zadaniu.

Tu admirał zrobił dłuższą pauzę, gdyż wydawało mu się, iż Pika w ogóle przestał go słuchać już jakiś czas temu. Kapitan jednak po chwili uniósł wzrok. – Słucham zatem – oznajmił.

– Otóż są nowe wieści z imperium Klynemm’Go – rzekł Topór. – Wygląda na to, że nastąpił tam głęboki podział sił i poglądów. Większość populacji chce oczywiście tego co zawsze, czyli dominacji nad galaktyką, ale wyodrębniła się ponoć frakcja, której członkowie uważają, iż przymierze z innymi potęgami, na przykład naszą Unią, nie byłoby takie głupie...

– Czyżby? – powątpiewał Pika. Admirał ucieszył się jednak, że wieść o misji wyrwała kapitana z apatii chociaż na chwilę.

– Wiem, co sobie myślicie – powiedział szybko Topór. – W przeszłości wszystkie próby porozumienia z Klynemm’Go okazywały się raczej mało korzystne...

– Ja bym powiedział, że po prostu za każdym razem wbijali nam nóż w plecy – prychnął Pika.

– Tak, owszem, zgoda. Ale wygląda na to, że przywódca tej frakcji chce negocjować. Dla nas jest to szansa, aby zdobyć trochę wpływów na ich terytorium – odparł Topór.

– Wpływów? Oni nigdy nie będą chcieli dzielić się władzą, są jak stadne wilki – sprzeciwił się Pika. – Dążą po prostu do dominacji nad wszystkimi innymi siłami w pobliżu.

– I znów ma pan rację – przyznał Topór – ale z tego, co wiem, pertraktacje mają być tylko przykrywką dla prawdziwej misji. Admirał Mizerykordia powie panu więcej, jak spotkacie się z nim na odprawie. W tej chwili opracowywany jest plan, który, o ile się powiedzie, dostarczyłby nam do badań działający i nienaruszony generator pola maskującego.

– Serio? – Pika wreszcie ożywił się na dobre. – No, to by było warte świeczki! Kiedy ruszamy?

Topór uśmiechnął się pod maską. – Za sześć dni. Spokojnie, kapitanie, mieliście ostatnio trochę ciężkich przeżyć... czytałem już pana raport w sprawie problemów, jakich przysporzyli wam na pokładzie czcigodni ambasadorowie... Cieszę się, że jakoś daliście sobie jednak radę. Teraz niech pan pojedzie na chwilę do domu, odpocznie trochę, a już za kilka dni będziecie uczestniczyć w bardzo ważnej misji.

Admirał wstał, Pika również. Podali sobie ręce.

– Dobra robota, kapitanie – powiedział na koniec Topór. – Odmaszerować.

Pika opuścił pomieszczenie, a Topór usiadł sobie i snuł światłe plany o przyszłości Unii. Dziwnym trafem, za każdym razem, jak dłużej korzystał z maski, do głowy przychodził mu pomysł wybudowania takiej ogromnej, wielkości przynajmniej małego księżycy, ruchomej stacji bojowej. Będzie musiał się temu pomysłowi przyjrzeć bliżej...

* * *

Załoga ma teraz kilka dni wolnych. Jak wykorzystają swoje krótkie wakacje? Czy Dajana Sparta zrealizuje swój Wielki Plan? Czy może reszcie dzielnych oficerów uda się jej przeszkodzić? Jak potoczą się losy maski admirała Topora? O co w ogóle chodzi z tymi głupimi pytaniami pod koniec każdego odcinka? Drodzy czytelnicy, zostańcie z nami, a być może już niebawem¹ odpowiedzi zaczną się pojawiać. Do następnego epizodu zatem!

¹ Ze względu na to, że Epizod 2 wyszedł nadspodziewanie długi, zespół produkcyjny ma nadzieję na chociaż krótką przerwę, zanim ruszy do tworzenia kolejnego odcinka. Należy brać to pod uwagę, interpretując wyraz 'niebawem' (przyp. zespołu)